№ 19 Warszawa, dnia 26 Kwietnia (8 Maja) roku 1880.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we **LWOWIE** w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

LESSEPS W SORBONIE.

Korespondencya z Paryża.

Piszemy dziś pod wpływem silnego wrażenia, pod urokiem okrzyków i oklasków, od których wczoraj wieczorem zatrzęsły się mury starożytnej wszechnicy sorbońskiej. Serce Paryża zadrgnęło żywem tętnem, na widok Lessepsa tylko co przybyłego z Panamy. Lesseps, to główny dziś przedstawiciel tej działalności i energii, jaka po wszystkie czasy ożywiała Francyą, to kość z kości, krew z krwi swego narodu, najżywotniejszy wyraz jego ducha, istny Tytan bajeczny, piastujący na barkach honor Francyi, i w obec dwóch światów ukazujący jej niepożytą siłę.

Jeszcze Lesseps żeglował po Atlantyku, a już na murach Sorbony czytaliśmy oznajmioną jego konferencyą. Jakoż przybył do Paryża 15 kwietnia wieczorem, a we dwie doby potem opowiadał Odysseję swoją w obec kilku tysięcy słuchaczów. Odyssea to dziwniejsza od tej jaką opiewał Homer, naznaczona piętnem dzisiejszego wieku. Lesseps na skrzydłach pary, w przeciągu trzech miesięcy, przebiegł Atlantyk, przekroczył Amerykę, zajrzał w oczy oceanowi Spokojnemu, przeleciał wszerz cały obszar Stanów Zjednoczonych i znów przez Atlantyk, wrócił do swego gniazda. Bohater grecki, zburzywszy z innymi mury Troi, odpoczął po trudach w swej Itace: nowy tryumfator, nie myśli o spoczynku, rozkroiwszy na pół Afrykę, zamierza rozkroić nową półkulę świata, i z młodzieńczym zapałem, w siedmdziesiątym piątym roku życia, zabiera się do tytanicznej pracy.

Od chwili ukończenia kanału Suezkiego, zamiar przekopania między morza Panamy, zajmuje wyłącznie Lessepsa. Aby rozkrzewić myśl powziętą i zjednać dla niej zwolenników, przebiegł nasamprzód całą Francyą, głosił zamiar swój po wielkich ogniskach handlowych kraju swego. Następnie objechał Europę, opłynął afrykańskie wybrzeża. Zrazu sprzedaż akcyi nie powiodła się, z powodu oporu Stanów Zjednoczonych. Niezrażony tem Lesseps, postanawia zbadać miejscowość i przełamać opór Amerykanów.

W późnej jesieni roku zeszłego, z licznem gronem najzdolniejszych inżynierów francuzkich, z żoną i ośmiorgiem dzieci, wsiada na statek, puszcza się w drogę do Panamy. Tę to podróż opowiedział wczoraj Paryżanom, z całą prostotą właściwą ludziom czynu bez krasomówskich ozdób, bez przechwałek, w sposób nadzwyczaj żywy i sympatyczny, niekiedy nawet żartobliwy.

Tłum widzów zaległ Sorbońską aulę: na dwie godziny naprzód zajęto wszystkie miejsca, nie w samej tylko sali, lecz w prowadzących do niej przedsionkach i korytarzach. Przeciągły grzmot oklasków, połączony z radosnym okrzykiem, rozgrzmiał na widok siwych włosów i ogorzałej twarzy pięknego starca, gdy wchodził do sali otoczony liczną rodziną i gronem młodych inżynierów. Okrzyk ten, powtórzył się jeszcze, kiedy Lesseps zawołał ze śmiechem: „Panowie! łatwiej mi przyjdzie przebić między morze panamskie, niż przecisnąć się przez te tłumy!"

Po chwili rozpoczęła się konferencya, a raczej przyjacielska pogadanka, ożywiona dziwnie odbiciem fotograficznych okazów, na wielkiem płótnie rozciągniętem po nad katedrą. Przy świetle elektrycznem, skierowanem na płótno, w zaćmionej sali w miarę jak Lesseps mówił, przesuwało się przed nami pięćdziesiąt ośm obrazów, przedstawiających, to mappy krajów przebytych, to widoki miast i okolic, to sceny z życia rozmaitych ludów, to wreszcie potrzeby osób, które wzięły udział w wyprawie. Każdy obrazek nasuwał mówcy żywe jakieś wspomnienie, częstokroć wesołą anegdotę.

Oto nasamprzód mappa świata. Lesseps długą trzciną bambusową, ukazuje na niej ważne następstwa, jakie wypłyną z przekopania międzymorza panamskiego.

Będzie to dopełnienie Suezkiego kanału.

Tym sposobem, wielka żegluga w koło świata, okrążająca niegdyś przylądek Dobrej Nadziei w Afryce, i cieśniną Magelońską w Ameryce południowej, sprowadzoną zostanie do najkrótszej, bo do prostej linii. „Nie ja to, rzecze mówca, wymyśliłem kanał Suezki; za czasów Abrahama poruszono już pewnie to pytanie; nie ja też wymyśliłem przekopanie Panamy; pierwsi wicekrólowie hiszpańscy marzyli już o tem bez wątpienia, a gorące oklaski wasze świadczą wymownie, że i wy przebijacie ze mną ów kanał. Sądziłem że czas mi już odpocząć, bo jak mówiłem w San-Francesco, dwa razy starszy jestem od tego miasta, liczącego dziś pięć kroć sto tysięcy ludności; ale powołano mnie do zajęcia się Panamą. Podjąłem się wielkiego dzieła i wykonam je, nie wątpię o tem.

Następnie opowiada mówca żeglugę swoją z portu S-t Nazaire do Gwadalupy i Martyniki, gdzie patryotyczne uczucia kolonistów francuzkich, podniecone słońcem zwrotnikowem, objawiły się w tryumfalnem przyjęciu. Dalej opisuje przybycie do Kolumbii. Tu w mieście Colon-Aspinwald, spotyka cały tłum inżynierów amerykańskich, których powołał do rozpatrzenia miejscowości. Gdy to mówił, ukazuje się na płótnie piękna grupa: Krzysztof Kolumb podnoszący z ziemi Amerykę, uosobioną w dzikiej Indyance, ubranej w pióra ptaków. Pomnik ten dziwne przechodził koleje, po wojnie włoskiej: cesarzowa Eugenia, przez wdzięczność za adres pań medyolańskich, kazała wykonać go jednemu z pierwszych rzeźbiarzy, przeznaczając go do

Medyolanu. Zmiany zaszłe we Francyi, zwróciły w inną stronę to piękne dzieło sztuki. Lesseps przeprowadził je do Kolumbii, i postawił w miejscu gdzie według podania, wylądował słynny Genueńczyk. W temże samem miejscu ma się rozpocząć kanał.

W dziesięciu okazach, widzimy różne okolice Panamy, między niemi bystrą rzekę Changres, ulegającą nadzwyczajnym powodziom, które w oczach amerykanów, stanowić miały główną przeszkodę do podjęcia zamierzonej pracy. Niczem jednak ta przeszkoda w oczach Lessepsa. „Przyroda, mówi on, obok choroby, stawia zawsze zaradczy środek. Tu pomiędzy dwoma górami, musim zbudować mocną tamę.—Widzicie tam w pobliżu trzecią górę, dodał, trącając trzciną płótno, znieść ją wypada bo stoi nam na drodze. Posuniemy ją tylko, to rzecz najłatwiejsza!

Widzimy dalej przepyszne lasy, uderzające bogatą roślinnością, widzimy Kajmany śpiące nad strumieniami. Wśród tych okazów flory i fauny miejscowej, ciągnie się droga, przecinająca między-morze. Wszystko to nosi cechę pierwotną. Nigdzie nie widać dworców, jeśli podróżnik jaki chce wsiąść do wagonu, staje przy drodze; pociąg zatrzymuje się i zabiera go z sobą.

Wioski tutejsze zamieszkałe pospołu, przez murzynów i czerwonoskórych Indyan: wyrzucają tym ludziom lenistwo, aleź w owym błogosławionym kraju, pieczone gołąbki same wpadają do gąbki. Wszyscy mówią po kastylsku. Każda wieś uroczystą oracyą, przyjmuje tu Lessepsa.

Otóż i miasto Panama. Przeciwnicy kanału przedstawiali je jako trapione bezustannem trzęsieniem ziemi. „Wierutna to bajka, mówi Lesseps, miasto leży za obrębem sfer wulkanicznych. I na dowód ukazuję katedrę wyłożoną konchami perłowemi, istniejącą od podboju Hiszpanów, a przecież całą, bez najmniejszej rysy." Spotwarzono też klimat tutejszy, dodaje mówca, przywiodłem tu żonę i dzieci, i sto pięćdziesiąt osób; odjechaliśmy wszyscy w jak najlepszem zdrowiu. Mówią że dość zmoknąć na deszczu, aby dostać złośliwej febry, otóż my zmokliśmy nie raz do nitki, i nikogo z nas febra się nie czepiła. Utrzymują także, iż każda sztuka drzewa na pokładzie drogi żelaznej, z Colonu do Panamy, okupiona życiem jednego Chińczyka. Jakoż w istocie, samobójstwo w dziwny sposób grasowało między robotnikami chińskimi. Stęsknieni do swoich zakopywali pod drzewem uciułany pieniądz i wieszali się na gałęzi, pewni że pod ziemią znajdą drogę do kraju. Zaprawdę klimat wcale temu nie winien.

Chcecie widzieć, dodał Lesseps, żywy dowód świadczący za tamtejszym klimatem? Zeswatałem tam jednego z inżynierów moich, oto jego małżonka. To mówiąc ukazał piękną Amerykankę, z czarnem okiem i śniadą cerą; młoda kobieta skraśniała jak wiśnia, pod tysiącem zwróconych ku niej źrenic.

„Znam w Panamie, ciągnie mówca, rodzinę złożoną z dziewiętnastu córek; znam także młodą jeszcze kobietę, babkę pięćdziesięciorga wnucząt. I mówią że to kraj niezdrowy."

Na potwierdzenie tych słów, odbicia fotograficzne ukazują nam różne typy: tu woziwoda spełnia nakoniu służbę swoją, tam praczki płuczą bieliznę w rzece. Wszyscy w Panamie ubierają się biało, praczki też wielką odgrywają tu rolę. Gdzie rzucić okiem wszystko się bieli, wszystko, prócz twarzy praczek, murzynki bowiem zajmują się same tą pracą.

Ukazał następnie Lesseps, w dwóch odbiciach wizerunki wszystkich członków wyprawy; każdego wymienił po nazwisku, o każdym przychylne wyrzekł słowo.

Nakoniec dał widzieć plan między-morza i przyszedł do ostatniego wyniku badań swoich.

— Kanał, rzekł on, ciągnąć się będzie do stoków Atlantyku, przeciętych rzeką Changres, do stoków oceanu Spokojnego, przerzniętych rzeką Grande. W pośrodku jest góra wysoka, na dwieście stóp, jedyna trudność do zwalczenia. Byłem przez dwadzieścia pięć lat dyplomatą, przez lat trzydzieści inżynierem, jakkolwiek bez dyplomu: uwierzycie mi przecież gdy powiem, że możliwość przekopania kanału, przyjęta w teoryi na kongresie Paryzkim roku 1879, jest dziś wykazana praktycznie przez specyalną komisyą. Co zaś do Stanów Zjednoczonych przyjęcie jakiego tam doznałem, przekonało mnie, że trudności wszelkie usunięte z tej strony.

Tu Lesseps opowiada przejazd swój przez Amerykę północną i spotykane co krok owacye. W Nowym-Yorku, po chwilowym chłodzie nastąpiły oznaki najgorętszego uznania.—Przez cały dzień, [mówi on, reporterowie oblegali mój pokój, zapisywali każde wybiegłe z ust moich słowo. Raz gdy żona moja chciała wyjś z domu, głos jakiś odzywa się błagalnie:

— Pani, chwilkę jeszcze! niech skończę mój rysunek. Słowa moje powtarzane stokrotnie po dziennikach, jednały mi powszechną sympatyą. Bo też ów lud, pełen zapału do wielkich przedsięwzięć, nie mógł długo pozostać obojętnym, na sprawę obchodzącą ogólny postęp świata!

— Byłem w Washingtonie, ciągnie dalej, widziałem prezydenta Rzeczypospolitej; rzekłem do niego: „Zgadzam się zupełnie na doktrynę Monroe, broniącą Europejczykom mieszać się do spraw amerykańskich. Działam na mocy przyzwolenia rządu niepodległej Kolumbii; żadne państwo zabronić mi tego nie może. Co do kontroli, to ta należy wyłącznie do inżynierów kierujących pracą i do kapitalistów przynoszących swój pieniądz. Nie ma w tem żadnej polityki; to przedsiębierstwo czysto finansowe. Z wami czy bez was, spełnimy nasze dzieło. W końcu wszyscy wykrzyknęli: będziem z tobą! Rząd musi iść za prądem opinii publicznej. Jakoż mam już trzysta milionow subskrypcyi, zapewnionych dziś w Ameryce.

— Kompanie drogi żelaznej, mówi dalej, oddały mi do rozporządzenia, wagon honorowy. W Chicago, właściciel hotelu nie chciał przyjąć żadnej zapłaty. Kiedym pytał o niego, chcąc mu podziękować za taką szczodrobliwość, odpowiedziano mi że zajęty. Nadeszła godzina odjazdu; schodziłem do pojazdu trzymając w ręku małą paczkę, nagle z orszaku sług hotelowych, wysuwa się jeden, odbiera mi z rąk pakiet: „Pan Lesseps, rzecze, nie powinien nic dźwigać." Był to ów milionowy hotelista.

Coraz to nowe odbicia fotograficzne okazują nam rozmaite widoki: to Sierra Newady, to wodospadu Niagary, to wnętrze pysznego wagonu, który lotem strzały przeniósł podróżników od oceanu Spokojnego do wschodnich wybrzeży Atlantyku. Konferencya przeciągnęła się do dwóch godzin, lecz mimo podzwrotnikowego niemal skwaru w sali uniwersyteckiej, nikt nie czuł znużenia, każdy byłby rad słuchać jeszcze. Kiedy Lesseps zakończył mowę powtarzając z zapałem:

— Tak jest, kanał Panamski wykonany będzie, przez Francyą, na chwałę Francyi, ze współudziałem całego świata!

Słowa te przekonały słuchaczów, świadczą o tem okrzyki uniesienia, z jakiemi przyjęte zostały. Czy ten starzec, z białym jak śnieg włosem dokona sam wielkiego dzieła? Któż to może odgadnąć? W każdym razie imię Lessepsa przyrośnie do Panamy jak przyrosło już do Suezu, otoczone słuszną czcią przyszłych pokoleń, bo on jeden, w chwilach zobojętnienia i upadku umysłów, umiał wykrzesać szlachetny płomień z piersi narodu swego, bo umiał popchnąć Francyą na drogę twórczej inicyatywy, zgodnie z dziejowem jej posłannictwem!

Ślubny upominek.

do A. R.

Niewinna, słodka i cicha,
Bogata w czary dziewicze,
Jak pszczółka z kwiatów kielicha,
Wyssałaś tylko słodycze.

Sen wykołysał cię złoty:
Do życia tak rzewnie woła,
Głos macierzyńskiej pieszczoty,
Z piosnką Stróża Anioła.

W błogosławionym tym chórze,
Ty nutę słyszysz dziś nową,
Z lic twoich wykwitły róże,
Głos miły zwał cię królową.

I zorza błysła ci z góry,
Obietnic szepcze ci tyle,
Przed blaskiem twojej purpury,
Niechże ja czoło pochylę.

Nim pomkniesz w drogie mi strony,
Gdzie świat twój zamknęłaś wszystek,
Niech do twej ślubnej korony,
Choć jeden doplotę listek.

On ci poszepnie o dziecię!
Słówko dzwoniące nadzieją,
Że nie brak szczęścia na świecie,
Tym co go szukać umieją.

Nie w sennej ułud krainie,
Gdzie w chmurach gubią się ptaey,
Lecz przy domowym kominie;
W miłości, w zgodzie i pracy.

Takiej dziś doli ci życzę,
Pod tarczą Bożej opieki,
Jak pszczółka życia słodycze,
Znoś do domowej pasieki.

Niech jak on strumyk uroczy,
Co smugiem kwiecistym płynie,
Dni twoich wianek się toczy,
Po cichej życia dolinie.

Seweryna D.

EUGENIA LAWAL.

powieść z życia społeczeństwa francuzkiego

napisana oryginalnie

przez

Kazimierza Gregorowicza.

(Dalszy ciąg).

Od jakiegoś czasu będąc prawdziwym mrukiem, nie wchodziłem w żadne rozmowy ze służbą, a po-

nieważ Busson nie mówił nigdy o swej rodzinie, pomimowoli więc uważałem go za starego kawalera. Wydany rozkaz przywiezienia córek uczynił szczególne jakieś wrażenie na moim umyśle. Nie rozumiem dla czego, ale rad byłbym wiedzieć o ich urodzie i wieku. W tym celu uczyniłem stosowne zapytanie marszałkowi dworu, nazwiskiem Chippault.

Staruszek uśmiechnął się filuternie, a spojrzawszy mi bystro w oczy, rzekł cedząc pomalutku słówko za słówkiem:

— Panna Jadwiga, tak nie mylę się, panna Jadwiga ma lat... dziesięć. Starsza zaś panna Blanka... tak, starsza... ma lat... dwanaście.

— Ah! zawołałem mimowoli, choć z trudnością przyszłoby mi objaśnić znaczenie użytego wykrzyknika.

Wykręciwszy się szybko, chciałem wyjść z pokoju, ale Chippault dodał jakby nawiasowo.

— Nie wspomniałem jeszcze o trzeciej córce pana Bussona, pannie Józefinie, najstarszej. Ma ona około lat dwudziestu, nie wiem czy z dołu czy z góry, ale zawsze niedaleko oznaczonej cyfry. Pieścidełko, śpiewa jak anioł.

Staruszek mówiąc to spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem. Pomimowoli spiekłem ogromnego raka. Chcąc utaić doznany kłopot, rzekłem prędko:

— Biedny pan Busson, zmartwiony jestem nadzwyczajnie jego chorobą.

— Nie umrze panie, odpowiedział Chippault, nie umrze, powtórzył z naciskiem, wstanie z łóżka skoro okoliczności na to pozwolą.

Wyszedłem spiesznie do pokoi służących, przyrzekając nie wszczynać więcej rozmowy z dziwacznym starcem, z wyjątkiem tylko przedmiotów, dotyczących zarządu pałacowego.

Byłem zniechęcony do kobiet więcej niż kiedykolwiek. Doznałem zawodu już nie tylko ze strony pani M... ale i ze strony tej niegodziwej Eugenii, jak syrena prawdziwa wabiącej z daleka przechodniów, aby ich pogrążyć w głębinach wodnych.

Nadane jednak miano pieścidełka najstarszej córce Bussona, utkwiło żywo w mej pamięci. Jako artysta lubię wszystko co piękne, chciałem więc zobaczyć pannę Józefinę choćby zdaleka, ale tylko ze stanowiska estetycznego, aby sprawdzić, o ile było prawdziwem określenie marszałka zamku.

Ukryty za firankami okna, czatowałem niecierpliwie na przyjazd zapowiedzianej rodziny mojego gościa.

Niestety! panna Józefina wyskoczywszy z karety mignęła jak strzała.

Wiele znaczące chrząknięcie zwróciło moją uwagę. Naprzeciwko mnie stał Chippault z wiecznym uśmiechem ironicznym na ustach. Zamknąłem prędko okno chcąc uniknąć niemiłego widoku.

Staruszek jednak widocznie uwziął się na mnie, bo w krótce zapukał do moich drzwi pod pozorem zapytania, w której sali jadalnej trzeba będzie przygotować do obiadu. Pytanie to zadziwiło mnie: dotychczas wszelkie sprawy podobne marszałek dworu załatwiał samoistnie, a w żadnym razie nie chciał uronić ani jednego promyka dzierżonej władzy.

Udzieliłem stosowną odpowiedź, ale to go jeszcze nie zadowolniło.

— Czy pani Busson z panienkami zamieszka w naszym pałacu? zapytał.

— Nie wiem, odpowiedziałem krótko.

Staruszek z wielką niechęcią ruszywszy ramionami wyszedł nareszcie. Gdyby nie Chippault to byłbym pobiegł natychmiast celem bliższego poznania panny Józefiny. Wejście marszałka a szczególniej jego uśmiech nieznośny przypominał mi o grożącem niebezpieczeństwie. Łamałem głowę nad wytknięciem sobie właściwej drogi postępowania.

— Byłoby nieprzyzwoicie, mówiłem sam do siebie, gdybym nie zszedł na powitanie rodziny Bussona. Panna Józefina może być piękną lub brzydką to mi wszystko jedno, ale ostatecznie nietrzeba zapominać o prawidłach przyzwoitości.

Pod wpływem tej myśli zapukałem do drzwi chorego. Mała panienka otworzyła mi takowe, a ja z pewnym zachwytem zobaczyłem rozpostarty przed sobą obraz rodzinny, wyciskający pomimowoli łzy z moich oczów.

Busson opartą miał głowę na ramieniu swej małżonki, obok niego siedziała najmłodsza córeczka, a najstarsza i średnia klęczały przy łóżku, patrząc z głębokiem wzruszeniem w oblicze swego życiodawcy.

Józefina była prześliczna, wszelkie miano oznaczające wdzięk i urok niewieści, należało jej z prawa.

Piękna panienka podniosłszy na mnie oczy zaczerwieniła się mocno, widocznie zadrzała i jakby pod wpływem osłabienia wsparła się z lekka na krześle obok niej stojącem.

Szczególniej zachwycony byłem dziwną zmianą w wyrazie jej oczów, skoro na mnie spojrzała po raz pierwszy.

Przejście od obojętności z jaką się patrzy na osobę nieznajomą, do uczucia płynącego z niespodzianie poruszonogo serca, było nadzwyczajnie krótkie jak błyskawica, a jednakże ujęte dla bystrego wzroku. Tylko w wypadkach nadzwyczajnych, oczy kobiece mogą się zdobyć na podobną wymowę. Ta najpiękniejsza ozdoba człowieka musi być niczem więcej tylko ogniskiem magnesowem, bo i ja uczułem rumieniec na twarzy.

Nie będę opisywał pierwszej rozmowy przeprowadzonej z rodziną Bussona.

Panna Józefina zajęta ojcem, przyjmowała niewiele udziału w rozmowie. Po większej części patrzyła w inną stronę, a gdy czasami spotkały się nasze spojrzenia, to dostrzegłem w nich tylko zwykłą uprzejmość towarzyszką, najzupełniejszą obojętność dla mej osoby.

Takie było moje pierwsze poznanie z panną Józefiną. Od tego czasu przeszedłem prze tłum uczuć, myśli i najsprzeczniejszych zamiarów.

W oddaleniu nie zostając pod wpływem czarów rozsiewanych przez śliczną jej postać, patrzyłem na nią obojętniejszym wzrokiem. Uspokojony o stan swego serca, zamierzyłem dopełnić tylko obowiązków grzecznego gospodarza, i po trzechgodzinnej nieobecności zszedłem szybko do mieszkania Bussona.

Zastałem niespodziany stan rzeczy. Panna Józefina ze swemi siostrami wyjechała od godziny, a chory zamierzał nazajutrz wrócić do domu.

Sprzeciwiłem się temu z całą stanowczością. Na szczęście przybyły doktór poparł moje zdanie, zalecając Bussonowi pod utratą życia zostać na miejscu całe dni piętnaście.

Z radości byłbym uściskał poczciwca. Natychmiast kazałem przygotować apartament, a wysłana kareta miała przywieźć Józefinę i jej siostrzyczki.

Nazajutrz spostrzegłem dziwne zjawisko fizyologiczno-psychologiczne.

Oto kiedy byłem w towarzystwie panny Józefiny, ustawał ból serca i właściwe mi zniechęcenie do świata i ludzi, a stan tyle przykry wracał w całej potędze skoro znalazłem się samotnym w swoich pokojach.

Po dniach trzech byliśmy jak dawni znajomi, po pięciu jak dobrzy przyjaciele, a po siedmiu, skoro na wyraźne żądanie Bussona poczęliśmy go zabawiać muzyką, to w śpiewie i w dźwięku instrumentów wypowiedzieliśmy sobie wzajemnie tajemnicę naszych serc.

Panna Józefina miała tyle wdzięku, tyle darów umysłu i serca, tyle prostoty, tyle nareszcie dowcipu i powabu, że nawet serce zimniejsze od mego, nie mogło zostać obok niej bezkarnie. Niezaprzeczenie i ona patrzyła na mnie z uczuciem, ale nie mogłem dojrzeć w tem tej siły, z jaką mnie powitała przy pierwszem spotkaniu.

Dopiero w chwili odjazdu spotkało mnie to szczęście.

Siedzieliśmy przy fortepianie, ja byłem smutny ona zamyślona.

— Odjazd państwa, rzekłem z uczuciem, zastrasza mnie nadzwyczajnie. Kiedyś pragnąłem samotności, dzisiaj będzie ona dla mnie prawdziwą męką. Dnie spędzone w towarzystwie pani jakoteż jej zacnej rodziny, zostaną jedynem miłem wspomnieniem całego mego żywota. Żal w sercu a pustka domowa będą tem dotkliwszemi. Biedny los wygnańca, obcy wśród obcych nie wywoła dla siebie jednego uniesienia serca, jednego westchnienia współczucia.

— Dlaczego pan nie zrobi znajomości z osobami mieszkającemi w sąsiedztwie? odpowiedziała Józefina po krótkiej chwili milczenia, że nie wspomnę innych, ale w domu pani de la Fare może pan znaleźć wiele przyjemności.

— Pani mnie nie chce zrozumieć, odpowiedziałem głosem drżącym ze wzruszenia, nie chodzi mi o przyjaźń osób obojętnych, tem mniej o miłe spędzenie czasu, ale radbym znaleźć serce zdolne odpowiedzieć wzajemnością na gorącą miłość moją. Wtenczas dopiero byłbym szczęśliwy, gdyby dzisiejsze moje otoczenie było ciągłem, ale nie z powodu choroby zacnego pani ojca.

Panna Józefina nie odpowiedziała ani słówka, ale spojrzała na mnie z tym samym wyrazem jak przy pierwszem poznaniu. Nie był to błysk przelotny, ale spojrzenie długie, głębokie, zdolne stopić serce najobojętniejszego człowieka.

Nazajutrz nie mogąc znieść pałacowego pustkowia, wcześniej aniżeli wypadało pojechałem z odwiedzinami do Bussonów. Przyjęli mnie już nie jak przyjaciela ale jak syna. Trzy dni z kolei spędziłem w towarzystwie Józefiny, wracając do domu zaledwie koło północy.

Dziwne jednak bywa niekiedy usposobienie człowieka. Mając nastręczoną sposobność po tysiąc razy, nie wróciłem do przerwanej rozmowy.

Nie mogłem żyć bez Józefiny, a nie miałem odwagi wymówić stanowczego słowa.

Dlaczego? nie wiem.

Może czasami wydawała mi się za nadto wesołą, zanadto kochającą wielki świat i lubiącą rozrywki.

Pewna smętność w usposobieniu, większe skupienie ducha przemawiałyby żywiej do mego serca.

Może... może... to wszystko prawda, ale nie rozbierałem bliżej tej zagadki. W sposób jaki żyłem przez te trzy dni, mogłem żyć bez zmiany już nie tylko dnie i miesiące, ale całe lata.

Niespodziany, choć bardzo zwykły zbieg okoliczności popchnął mnie naprzód o jeden krok.

Przyjechawszy czwartego dnia z odwiedzinami, przyjęty byłem przez panią Busson samą. Małżonek jej wyjechał w drogę, panna Józefina cierpiąc na ból głowy, zostawała w swoim pokoju. Wróciłem do domu w najgorszym humorze, nie wątpiąc jednak wcale o szczerości udzielonego mi objaśnienia.

Dopiero nazajutrz, gdy pani Busson przyjęła mnie z widocznym zakłopotaniem, a panna Józefina była zawsze niewidzialną, chciałem już uczynić sto-

sowne zapytanie, gdy pani Busson nagle przerwała panujące od jakiegoś czasu milczenie.

— Nienawidzę obłudy, rzekła, całe życie postępowałam szczerze, i w żadnym wypadku nie chcę odstąpić od powyższej zasady. Józefina jest zdrową, ale ojciec zabronił jej widywać pana. We Francyi tylko narzeczeni lub najbliżsi krewni mogą spotykać się codziennie. Zbyt wielka różnica majątkowa zniewala nas do tem większej ostrożności. Nie chcielibyśmy narażać na szwank pokoju naszego dziecka, a tem bardziej jego dobrej sławy. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności spowodowany chorobą mego męża, wywołał położenie nader groźne, wczesnym jednak ratunkiem możemy zapobiedz gorszym następstwom. Zniewolona jestem prosić pana o zaprzestanie bywania w naszym domu przynajmniej czasowo aż do chwili, w której los Józefiny stanowczo rozstrzygniętym zostanie.

Przemowa pani Busson wprowadziła mnie w stan niepodobny do opisania. Wymówiono mi dom aby nie narażać dobrej sławy Józefiny, a miałem ją widywać dopiero po zawarciu z innym związków małżeńskich. Sama myśl o tem przyprowadziła biedną moją głowę do zawrotu.

Pod wpływem tych myśli, nie zdając sobie bliższej sprawy z tego co czynię, zawołałem z uniesieniem:

— Gdybym nie widywał panny Józefiny, gdyby ona miała być poślubioną przez innego, to serce by mi pękło z żalu i tęsknoty. Czyż pani nie widzi, że ją kocham do szaleństwa. Jeżeli nie wzgardzicie cudzoziemcem to ją poprowadzę do ołtarza. Każda chwila rozdziału z panną Józefiną jest dla mnie wiekiem prawdziwego męczeństwa.

Pani Busson uścisnęła czule moją rękę mówiąc:

— W sprawie tyle ważnej ostateczne postanowienie zawisłem jest od mego męża. Nie sądzę jednak aby miał udzielić panu odmowę. Stawi może warunki, ale te przy dobrej woli będą zupełnie możliwe do spełnienia. Pomówię z mężem, zrobię wszystko co będę mogła. Niech pan wraca do domu, jutro prześlę mu ostateczną wiadomość.

Prosiłem ze łzami w oczach o pozwolenie zobaczenia panny Józefiny choćby na chwilę.

— Przestąpię najwyraźniejsze zlecenie mego męża, rzekła pani Busson, ale nie mogę panu udzielić odmowy.

Za chwilę wyszła panna Józefina. Była bledszą i smutniejszą niż zazwyczaj, ale tem piękniejszą w moich oczach. Objaśniona przez matkę o moich oświadczynach, zapłonęła żywym rumieńcem i niekłamany wyraz szczęścia błysnął w jej oczach. Dłonie nasze złączone zostały w serdecznym uścisku.

Wróciłem do domu pod wpływem prawdziwej gorączki. Nie mogłem ani jednej chwili dosiedzieć na miejscu. Zbytnie szczęście tak jak zbytnia boleść mogą zabić człowieka.

Nazajutrz oczekiwałem z łatwą do pojęcia niecierpliwością na zapowiedzianą wiadomość. Wychodziłem po kilkakrotnie na drogę na spotkanie posłańca.

Tymczasem z największem mojem przerażeniem przybył sam Busson, co chwilowo uważałem jako wyraźny znak odmowy.

— Chcąc z należytą krwią zimną pomówić o interesach, rzekł po przyjacielskiem uściśnieniu mej dłoni: Uznałem za właściwe przybyć do pana zamiast sprowadzać go do siebie. W obec kobiet trudno mówić o stosunkach majątkowych ujętych w cyfry, bo przedmiot ten nie trafia do ich przekonania.

— Wiadome mi są pańskie zamiary, mówił po krótkim przestanku, dotyczące mojej córki Józefiny. W zasadzie nie mam nic przeciwko temu. Różnica narodowości nie zraża mnie, bo Francuzi i Polacy od wielu lat połączeni są ścisłym węzłem, tworząc jakby jedną rodzinę europejską. Ale waszą potęgą moralną są poeci, a naszą pracownicy na polu nauk ścisłych. Wy marzycie my rachujemy.

Na oświadczyny więc pana mógłbym odpowiedzieć przychylnie pod warunkiem zabezpieczenia losu mej córki. Wielki majątek pana przyzwyczai ją do zbytku i przepychu, a ponieważ jesteśmy wszyscy śmiertelni, mogłaby więc być narażoną na zbyt wielką zmianę położenia. Troskliwość ojca powinna ją uchronić od tego wypadku. Jeżeli więc warunek ten będzie spełniony, to jako zięcia swego z największą radością przycisnę pana do mego serca.

Pochwyciłem z zapałem, powiada dalej Górecki w liście do swego przyjaciela, dłoń zacnego ojca mówiąc z uniesieniem.

— Nietylko co mam, nietylko co mieć mogę, ale życie całe poświęcę dla szczęścia panny Józefiny. Cały majątek rzucę pod jej nogi, abym tylko miał nieomylną nadzieję poprowadzenia jej do ołtarza.

— Takich ofiar nie żądam, odpowiedział Busson z uśmiechem zadowolenia. Niedając z mej strony wielkiego posagu nie mogę być wymagającym. Żądam jedynie miliona franków, jakie mają być złożone na moje ręce. W takim razie z czystem sumieniem i spokojny o los dziecka, przyjmę pana z radością do grona naszej rodziny.

— Natychmiast uczynię zadosyć pańskiemu życzeniu, zawołałem prędko, a zerwawszy się z krzesła chciałem pisać odpowiednią assygnacyą na dom Rotszylda. . . . .

. . . .

Nie dobiegłszy jednak do biórka stanąłem na środku pokoju w osłupieniu. Blady i pomieszany, krokiem chwiejnym doszedłem do kanapy, na którą upadłem jak martwy. . . . .

Byłem tylko posiadaczem majątku należącego do osoby trzeciej, a temsamem nie miałem prawa do czynienia zapisów przedślubnych. Zrozumiałem po raz pierwszy całą potęgę i znaczenie pieniędzy.

Busson z zadziwieniem patrzył na mnie nie rozumiejąc przyczyny mego wzruszenia.

— Co to znaczy? zapytał ze zdziwieniem. Czyś zasłabł?

— Nie, nie zasłabłem, odpowiedziałem ze wstydem, ale zgrzeszyłem niepamięcią. Osobiście nie mam prawie nic a otaczający mnie przepych, kapitały i dobra, są własnością mego brata ciotecznego.

— To niepodobna! zawołał Busson zerwawszy się nagle z krzesła, jakby siła obca pochwyciwszy go w objęcia stawiła niespodzianie na nogi.

W krótkich słowach objaśniłem stan rzeczy. Okazawszy testament powtórzyłem życzenie wyrażone przez nieboszczyka.

Busson po odczytaniu wręczonego mu dokumentu, rzekł głosem znacznie uspokojonym:

— Położenie jest mniej groźnem aniżeli sądziłem chwilowo. Wprawdzie synowi służyłoby prawo wystąpienia o unieważnienie testamentu, wedle nawet praw francuzkich miałby słuszność, ale o ile nam wiadomo, wedle praw amerykańskich niewątpliwie przegrałby sprawę. W każdym jednak razie niezapominajmy o przysłowiu szczęśliwy kto posiada. Jeżeli pański brat cioteczny utopił się, to niechże spoczywa sobie w pokoju w głębinach morskich. Nie trzeba o nim wspominać, a gdyby się kiedy zjawił, to przedewszystkiem zrobimy mu zarzut co do tożsamości osoby. Później zażądamy odesłania sprawy przed sąd amerykański. W najgorszym razie proces trwać będzie lat dwadzieścia. Na wszelki jednak wypadek trzeba sprzedać dobra i utaić kapitały. Kochany kuzynek widząc przed sobą próżnię, skazany na chwytanie powietrza rękami, z pewnością nie będzie dalekim od układów i może wydatkiem kilkukroć stotysięcy franków okupimy sobie pokój zupełny. Objaśnienie przez pana udzielone nie zmienia moich zamiarów. Żądam tylko zupełnej plenipotencyi do działania.

Z kolei ja spojrzałem ździwiony na Bussona, nie pojmując aby człowiek szanowany przeze mnie, zostający przy zdrowych zmysłach, mógł z całą swobodą układać zamiary mające na celu oszukanie prawego właściciela majątku. Widocznie finansista nie przebiera w środkach skoro działa na właściwem sobie polu. Zasady jednak uczciwości posiane ręką rodzicielską tak żywo tkwiły w mem sercu, że pomimo wdzięków panny Józefiny i mej miłości dla niej, udzieliłem wsposób jak najbardziej stanowczy odmowę na uczynione przedstawienie.

— Wysłałem umyślnie do Australii mego przyjaciela Brodzkiego, rzekłem, dla odszukania Władysława Jasieńskiego, jedynie tylko w tym celu, aby mu wręczyć spadły na niego majątek. Ta jedna okoliczność dostateczną jest wskazówką o ile jestem daleki od doradzanych przez pana czynów, mogących rzucić brzydką plamę na nazwisko dotychczs niepokalane.

— Czy źle dosłyszałem, czy też pan żartuje? zapytał Busson patrząc na mnie w szczególny jakiś sposób; rzeczywiście wysłałeś umyślnego człowieka, za wyszukaniem sukcesora prawnego, celem wręczenia mu posiadanego majątku? Powtórz raz jeszcze bo nie dowierzam własnym uszom.

— Powtórzę nieraz ale dziesięć razy, odpowiedziałem z lekkiem odcieniem niecierpliwości w głosie.

— W takim razie, odpowiedział Busson wstając, układy nasze zostają przerwane w samym zawiązku. Nie przedstawiasz najmniejszej rękojmi utrzymania a tem samem nie mogę narażać losu mego dziecka. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności naraził pokój Józefiny. Będę miał wiele przykrości, bo nie znoszę płaczu i narzekania niewieściego, ale ostatecznie czas jest nieomylnem lekarstwem zacierając najsilniejsze wrażenia.

Wymówiwszy to Busson skinął z lekka głową i wyszedł niezatrzymany, bo ostatnie jego słowa i niespodziane wyjście przeraziło mnie nadzwyczajnie.

Odzyskawszy władzę nad sobą samym, zbiegłem po schodach na ganek, chcąc zatrzymać Bussona pomówić z nim raz jeszcze. Na nieszczęście już odjechał, na zakręcie tylko głównej alei pałacowej dostrzegłem jego karetę.

Stałem długi czas zamyślony, chociaż sam nie wiem o czem. Z ofiarą własnego serca, postąpiwszy tak jak człowiek uczciwy postąpić powinien, czułem wewnętrzne zadowolenie sprawiające mi wiele przyjemności.

Bussona jednak sądziłem mniej surawo aniżeli w pierwszej chwili, bo dla spekulantów każdy zarobek jest godziwy, aby tylko nie obrażał zbyt wyraźnie przepisów kodeksu kryminalnego.

Cóż jednak miałem myśléć o Józefinie? Czy ona również podziela usposobienie ojca? Czy dla niej miliony miały być wszystkiem? Przypuszczenie to było nieprawdopodobnem, bo przecież niedoszły mój teść wyraźnie wspominał o jej łzach i boleści.

Oh! z większą niż kiedykolwiek mocą pragnąłem ją zobaczyć choćby na chwilę. W tym celu napisałem list, jaki tylko kochanek zrozpaczony ułożyć jest w stanie, błagając ją o naznaczenie niby wypadkowego spotkania.

Dziwne myśli chodzą mi po głowie. Spełniając

ściśle wolę zmarłego wuja, ograniczając jedynie mój stosunek z Władysławem na udzieleniu mu pomocy w razie potrzeby, czyż obrażę zasady uczciwości?...

Pióro wypada mi z ręki.

(d. c. n.)

Pogadanka.

W przeszłej „Pogadance“ mówiliśmy o oświacie ludowej, dziś możemy podzielić się wieścią o projekcie, który, jeźli zostanie urzeczywistnionym, nader silnie wpłynąć może na podniesienie naszej klasy rzemieślniczej. Wiadomo że przed kilkunastu laty pewien czcigodny kapłan porozumiawszy się z niektórymi rękodzielnikami i przemysłowcami, pragnącymi dobra zajmowanych przez siebie pracowników, ułożył projekt resursy rzemieślniczej, cieszący się uznaniem tak samych interesantów jak ogółu. Na nieszczęście, projekt nie został wprowadzony w życie, i tylko od czasu do czasu jak cień Banko, pojawiał się w pismach dopominając się ze wszech miar przysługującego mu prawa bytu. Obecnie możemy nareszcie obiecywać sobie że zamieni się w rzeczywistość, gdyż przedstawiony już został Władzy.

Każdy człowiek pracujący dzień cały, potrzebuje wytchnienia i rozrywki. . Gdzież dziś szukać ma podobnej zabawy rzemieślnik warszawski, skoro nie ma choćby teatru ludowego, który umiejętnie kierowany mógłby w zabawie rozbudzić szlachetne popędy, z wykazywaniem złych skutków próżniactwa, wszelkich nadużyć i zdrożności.

Nie znamy jeszcze szczegółów projektu, wiadomo tylko że wnioskodawca proponuje, aby zakład powstał z zasiłków prywatnych a następnie już utrzymywałby się ze stałych opłat rocznych od członków które musiałyby być bardzo małe, aby dla wszystkich zarówno pracowników stały się dostępne. Główne wydatki stanowiłyby wynajęcie lokalu, prenumerata pism i założenie odpowiedniej biblioteki, zabawy zaś powinnyby tak być urządzone aby zarazem umysłową i moralną przynosiły korzyść, do czego nadawałyby się zastosowane do słuchaczów odczyty, muzyka w właściwym dla nich zakresie, a wreszcie taniec, rozmowa i zamiana myśli z ludźmi jednej gałęzi pracy. Nadto zanim Warszawa doczeka się teatru lodowego, możnaby za porozumieniem z p. Deryngiem dawać małe sztuczki i krotofile odgrywane przez uczni szkoły dramatycznej. Podobne stowarzyszenie powinno być dostępne nie tylko dla rękodzielników, ale także dla robotników fabrycznych i wyrobników, z tem jedynie zastrzeżeniem, aby przystępujący zasługiwał na przyjęcie nienagannem postępowaniem a w razie uznania członków zostawał wydalonym. Samo przez się rozumie się że każdemu członkowi powinno przysługiwać prawo wprowadzania na zebranie matek, siostr lub córek, gdyż sama już obecność kobiet nader błogi wpływ wywiera.

Kwestya samodzielnej chlebodajnej pracy kobiet, ciągle także stoi na porządku dziennym. Mówi się o niej i pisze wiele, a jednak dotąd, prócz nauczycielstwa i zarobkowania za pomocą maszyn do szycia, nic niemal praktycznego i ogólnie dającego się zastosować nie wymyślono. Znajomość buchalteryi dotąd nader małej liczbie kobiet zapewnia utrzymanie; może jeszcze stosunkowo wyrób kwiatów sztucznych uzdatnionym pracownicom najlepiej się opłaca. Ale dość to trudna i stosunkowo kosztowna nauka, a nadto pracownica musi posiadać narzędzia i maszyny, a korzyść z nauki bardzo wątpliwa, jako całkiem zależąca od mody która wiadomo jak jest zmienna, więc jak to już nieraz bywało, kwiaty mogą zostać zupełnie zarzucone. Czyżby więc nie korzystniejszem było i dla pracownic i *dla kraju*, aby pewna część kobiet zamiast uczenia się roboty kwiatów sztucznych, oddawała się nauce ogrodnictwa, skoro nareszcie doczekaliśmy się dawno upragnionej szkoły ogrodniczej. Jakież to ogromne summy pochłania corocznie sprowadzanie owoców z zagranicy.

W krajach gdzie przemysł ogrodniczy dosięgnął wysokiego stopnia rozwoju, córki i żony właścicieli ogrodów pracują w nich umiejętnie i pożytecznie, a nawet niektóre zakłady ogrodnicze, zostają wyłącznie pod zarządem kobiet.

Wiadomo jak dziś trudno znaleźć rzeczywiście zdolnych ogrodników: mogłoby zaradzić temu kształcenie się kobiet na ogrodniczki. Dla osób już nieco obznajmionych z ogrodnictwem, wystarcza trzy miesiące i nauka odbywa się w połączeniu z praktyką: uczennice zupełnie nieobeznane z przedmiotem muszą poświęcić rok czasu, dla odbycia praktyki w każdej porze roku. Dodać winniśmy że uczennice które ukończyły kurs ogrodnictwa w jesieni, pracowały pilnie i z prawdziwem zamiłowaniem, nietylko teoretycznie słuchając wykładów ale i praktycznie w ogrodzie pomologicznym, a były to po większej części żony i córki obywateli z królestwa, z Wołynia, Podola i innych odleglejszych okolic. Znające się dobrze na ogrodownictwie obywatelki, potrafią korzystnie kierować pracami ogrodowemi, kobiety nieposiadające własnych ogrodów, mogłyby ukończywszy naukę znaleźć dostateczny sposób utrzymania, czy to obierając sobie zawód ogrodniczy, czy nawet biorąc w dzierżawę ogrody, coby im znaczne mogło przynosić korzyści i zapewnić przyszłość. A któż z obywateli nie wolałby wydzierżawić ogrodu wykształconej fachowo ogrodniczce, niż przez całe lato widzieć w nim rój osmolonych przybyszów.

Jedna jeszcze czcigodna matrona polska zapisała swe nazwisko niezatartemi zgłoskami na kartach dziejów ofiarności i miłości chrześciańskiej. Zmarła w Krakowie, Anna z Treutter'ów Sztersztyn Helcel'owa, wdowa po znanym bankierze, wice-prezydencie i członku rady miejskiej, pochodząca ze starej rodziny patrycyuszów krakowskich, w pierwszych dniach kwietnia przeniosła się do wieczności. Za życia, dochody z rozległych dóbr swoich i kapitałów, zmarła obracała na szlachetne cele i uczynki miłosierne, umierając ogromne poczyniła zapisy na cele dobroczynne, oraz różne religijne i pożyteczne instytucye. Zapisy te, wraz z legatami dla osób prywatnych; wynoszą przeszło 250,000 złr. (150,000 rs.) nie licząc głównej fundacyi na którą przeznaczyła dobra Radłów i Borzęcin; wartujące około 2,000,000 złr. (1,200,000 rs.)

Zgodnie z wolą i życzeniem zmarłego męża, testatorka poleciła założyć w Krakowie zakład dobroczynny dla ubogich, którego celem ma być zapewnienie dozgonnego przytułku, pożywienia i okrycia dla 20 najmniej osób obojej płci, dotkniętych nieuleczoną chorobą, oraz czasowe utrzymanie najmniej także 20 kobiet i mężczyzn, potrzebujących po wyjściu ze szpitala wygodnego schronienia, pożywnej strawy i opieki. Liczba pierwszych i drugich ma być powiększona w miarę funduszu. Zakład ma zostawać pod opieką i zarządem siostr miłosierdzia w Krakowie, wszelkie zaś na ten cel przeznaczone fundusze, zostaną złożone w kasie Wydziału Krajowego: dozgonnym kuratorem wyznaczony został p. Ludwik Szumańczowski, poseł do sejmu, po śmierci jego przysługujące mu prawa przechodzą na Wydział Krajowy, a gdyby ten istnieć przestał, na właściwą władzę krajową. Zakład ma nosić nazwę: „Dom ubogich fundacyi Ludwika i Anny Helcel'ów“. Wspaniałomyślne fundacye testatorki, pomnożą szereg dobroczynnych instytucyi w które dziś już Kraków bogato jest uposarzony, (o ile wiemy, roczny ich dochód wynosi 400,000 złr.) a dotąd przecież walczą one daremnie z nędzą i pauperizmem, bo nie dość wspierać nędzę ale przede wszystkiem należałoby starać się jej zapobiedz, dostarczaniem zarobku i pracy.

Skończył się szereg prelekcyi; opera włoska odjechała, szczęśliwej drogi, jeźli będziem płakać to nie za nią ale za grubemi pieniędzmi jakie trupa ta wywiozła z kraju. Jednej tylko panny Salla a szczególniej Massini'ego żałowaćby można, ale ten znów za często miewał chrypki i katary, na które, jak mówiono, różne składały się okoliczności. Nie darmo mówi przysłowie „z wielkiej chmury, mały deszcz“ tak i w tym razie, z zapowiedzianych dziwów, najprawdziwszą była przesolona cena biletów. Chodzi pogłoska że Dyrekcya Teatrów zamierza podnieść ceny miejsc w Teatrze letnim, z jakiegoż tytułu? Chyba dlatego że w tej porze najcelniejsze siły artystyczne nie występują na jego scenie, korzystając z udzielanych wtedy urlopów.

Ze świata dochodzą nąs przerażające wieści zapowiadające straszną katastrofę... za lat aż 6,300. Według uczonego geologa le Hon, jedyną różnicą zachodzącą między przeszłym a mającym nastąpić potopem, jest: że wpłynięcie wód z jednej półkuli ziemi do drugiej, odbędzie się w kierunku przeciwnym. Za Noego, morza północne ustąpiły nagle i zalały kraje przeciw-biegunowe; otóż opierając się na powyższej zasadzie, pan Adhemer zarazem astronom, matematyk i geolog, obliczył i wykazał, że przyszły potop odbędzie się w kierunku przeciwnym, to jest z południa na północ i przypadnie za lat 6,300. Powodem potopu będzie puszczenie lodów bieguna południowego, co nastąpi wówczas gdy lody przeciw biegunowe (północne) dojdą maksymum swego rozwoju, rzucą się na naszą półkulę i zaleją.

Czy się proroctwo to dość drażliwe dla przyszłości spełni, mniejsza o to. Zawsze potop nowy to nie bagatelka. Noe ratował się arką, ludzkość napadnięta nią może sfrunie na sztucznych skrzydłach, lub po promieniach magnetyzmu i elektryczności wdrapie się na promieniste światy krążące w przestworzu. Że też to tej możności uczony astronom nie wziął w rachubę i tak brutalnie przepowiedział zagubę rodzaju ludzkiego.

Bądź co bądź, kochana nasza Warszawa nie troszcząc się tak smutną przepowiednią, cieszy się wiosną i jej ponętami, zajada kuraki jak wróble, raki jak pisklęta ptasie, robi wycieczki pobożne do Czerniakowa a gastronomiczne do Zacisza, Wierzbna i Mokotowa: oklaskuje występy ogródkowe trup teatralnych, zachwyca się orkiestrą Szwajcarskiej doliny, z utęsknieniem wygląda przybycia zapowie-

dzianego cyrku i przechadza się z powagą po ogrodach publicznych dziwiąc się zapewne, że jeszcze niewydeptane, niestarmoszone zielenią się trawnikami i chłodzą gąszczem krzewów i drzew rozłożystych. Przyjdzie i to z czasem, sprawią to drobne rączki i stopki dziatwy... mylę się, sprawi to obojętność starszych na jej postępowanie, brak chęci do wdrażania w młode główki poszanowania publicznej własności. Napad podobnie niszczący na ogród Saski, Kuryer Warszawski opisał w artykule p. t. Hunnowie w Warszawie, osnowę jego powtórzył Przyjaciel Dzieci, nie chcąc więc być Hunnem, dziatki bujające się na drutach baryerkowych, biegające po trawniku i przebojem przebijające się przez krzewy, skarciłem przestrogą bardzo delikatną aby tego nie robiły. Dzieciny zawstydziły się, oniemiały, ja zatryumfowałem... a z ławki podniósł się głos mnie znów karcący, że wtrącam się do tego co do mnie nie należy.

Panie były bardzo wymowne, czułem że w pojedynku językowym nie wytrzymam, przytuliłem więc uszy i poszedłem dalej, panie mruczały i wstrząsały ramionami, a ja mówiłem w sobie:

— Kiedyż dla nas zabłyśnie ten błogi czas, w którym napis na tablicy, oddający miejsce publiczne w opiekę ogółu, będzie skuteczniejszym nad wszystkie dozory i nadzory choćby najliczniejsze.

Przegląd Teatralny.

Sąd honorowy komedya w pięciu aktach, Edwarda Lubowskiego.

Nieliczna chyba tylko część publiczności zaprzeczy, że z autorów młodszej generacyi, popisujących się u nas na arenie sztuki dramatycznej,—Lubowski, pod względem talentu, jest wart najwięcej. W kilku kreacyach tego pisarza, które postawił dotąd na scenie, znajdujemy przedewszystkiem rys jeden, stanowiący naszem zdaniem, najważniejszy motyw, do chwalenia w ogóle pewnych utworów dramatycznych, przed innemi... *notabene*, jeżli teatr ma być rzeczywiście *szkołą*, nie salą zabawy i jeżli w sztuce scenicznej, szukać mamy czegoś więcej, nad pustą przyjemność. Tym rysem jest „głębokość.“

Głębokość utworów Lubowskiego, polega u niego nietyle na ogólnym pomyśle sztuki, ile na pomyśle oddzielnych charakterów, w niej działających, i oddaniu ich następnem w wyraźnej, pełnej i mocnem, że tak powiemy, dłutem ciętej rzeźbie. Wierzymy, że tej to właśnie zalecie nie czemu innemu,—sztuki Lubowskiego zawdzięczają mniejszą swoją popularność względnie do utworów innych autorów...

U podobnych pisarzy, posiadających przymiot, o którym wspomnieliśmy, spostrzegać się daje zwykle *ujemność*, pod innym względem. Są mianowicie niedbali w wyszukiwaniu zręcznej dla sztuk swoich intrygi.

Ostatnia sztuka Lubowskiego, „Sąd Honorowy,“ posiadając w sobie wszystkie wymienione powyżej zalety i wady — ma ten dodatni przymiot jeszcze, stawiający ją na czele przed poprzedniemi, tegoż samego pióra utworami że... *głębszą* będąc od tamtych w treści, mniej szwankuje pod względem obrobienia akcessoryi, czysto *scenicznych*. Wyrażając się krócej: co *dobrego* było w talencie Lubowskiego, występuje w obecnej sztuce jego, obficiej, co *złego* w mniejszej znajduje się dozie.

Nazwa: „Sąd Honorowy,“ dostała się utworowi od sceny zapełniającej akt wprawdzie cały, ale stanowiącej w całym organizmie tegoż utworu, nic więcej, jak tylko jeden z epizodów, wymyślonych przez autora na to, aby prawdziwym ogniem akcyi ożywić historyą ciągnącą się przez cztery akty pozostałe.

Szlachcic Marchołt, poczciwy w gruncie duszy i bogaty (p. Żółkowski), wpada na myśl dość fantastyczną, aby cały swój majątek, odstąpić *a fond perdu* jak się mówi, dwóm znajomym swoim i niby przyjaciołom, Wawrzyniewiczowi i Owczyńskiemu, którzy za to, zobowiązują się płacić mu grubą dożywotnią rentę. Dwaj przyjaciele chętnie zgadzają się na nią, licząc na niedługie życie szlachcica, którzy też ze swej strony, zapędzając się w dyplomatycznych pomysłach, udaje przed spekulantami człowieka bardzo chorego, przez co łatwiej wciąga ich w zastawioną pułapkę.

Marchołt ma siostrzeńca, Michała (p. Leszczyński), młodego człowieka z dobrem sercem, ale birbanta i letkiewicza, przeciwko któremu, zaraz od początku sztuki, znajdujemy go zagniewanym. Gniew ten przeciw synowi jego siostry, rozniecił głównie intrygą swoją, niejaki Anielewicz (p. Tarkiewicz), typ skończonego cynika, który popełniając same prawie nikczemności, do tego stopnia wśród nich zezwierzęciał, iż przestaje już nawet odczuwać smak cierpki, który te brudy wzniecać sobą muszą. Cechą główną jego egoizmu, jest bezgraniczna otwartość, z jaką opowiada każdemu wszystkie złe myśli nawet, jakie żywi w duszy, chwaląc się niemal *płaskością* ich i *wstrętnym kolorem*.

Jest scena (akt 5-ty) gdzie Anielewicz otrzymuje od Michała pewien datek pieniężny, o który go prosił. Otóż Michał rzuca mu tenże datek ze wzgardą. Nagle w piersi Anielewicza budzą się szlachetne instynkta, tak że niemi powodowany odtrąca w pierwszej chwili pomoc podaną mu dłonią tak niechętną.

Aliści... chwilka przechodzi...

Pogawędził z sobą trochę... pobąkał... spojrzał na pieniądze... i zgarnął je.

Takim jest Anielewicz.

Ten charakter to wyborna kreacya Lubowskiego i najlepsza figura obecnej jego sztuki. Sama jedna mogłaby już istotną wartość nadać utworowi, gdyby tam nawet, charaktery pozostałe, były słabszym pędzlem, niżeli są kreślone.

Wracając do Michała, ten po długiej birbantce dawniejszej i podczas miłostki, którą z nawyknienia już tylko do tejże birbantki, prowadził teraz jeszcze z żoną Owczyńskiego, uczuwa się nagle porwanym przez poważniejsze, szlachetniejsze uczucie, do pewnej pani Henryki, młodej wdowy, córki jenerałowej, spokrewnionej z wujem jego. Henryka patrzałaby nań lepszemi oczami, gdyby nie intryga znowu Anielewicza, który dość niezręcznym fortelem jakim jest list bezimienny, stara się powiadomić ją o stosunkach przyjaźni, jakie wiążą tegoż Michała z Owczyńską. Rezultatem tych wszystkich knowań miłości, miłostek i intryg, jest to jeszcze, że, gdy Owczyński dowiaduje się o zdradzie swojej żony, oczernia Michała jako swojego rywala, przed wujem jego, przed ludźmi, przed jenerałową i Henryką, do tego stopnia, iż Michał wyzywa go i Wawrzyniewicza, który właściwie głównym jest motorem intryg, na pojedynek.

Marchołt tymczasem, przez trzy całe akty udaje ciągle chorego przed dwoma spekulantami... Lubowski jako akcessorya do tego epizodu, daje znowu dwa ciekawe charaktery, które niby *niekoniecznie* potrzebne, a jednakże bardzo dobrze wyglądają w całości. Są nimi dwaj panowie doktorzy, z których jeden Trębaczewski (p. Szymanowski), blagier skończony a udający uczonego lekarza, utrzymując że Marchołt chory jest naprawdę, wprawia tego w położenie prawdziwie komiczne; drugi, Kryspin (p. Chomiński) typ konsyljarza *na serio*, znając stan rzeczywisty zdrowia Marchołta i umyślnie robiąc sobie zabawkę z komedyi, zawiązanej pomiędzy trzema spekulantami, straszy ciągle Wawrzyniewicza i Owczyńskiego, frazesami dwuznacznemi o długiem życiu ofiary, na którą ci czatują... zwiększając tem i tak już dość bogaty zapas humorystycznego żywiołu w sztuce.

Koniec końcem zbliżamy się do sceny, która nadała tytuł utworowi. Jest to Sąd honorowy, zebrany przez całą zgraję nikczemników, w celu rozważenia na nim: czy Michał ma istotnie słuszne powody do wyzywania Wawrzyniewicza i Owczyńskiego? i co główna! czy ten w postępkach swoich, okazał się na tyle człowiekiem honoru, aby wyzwanie jego można było przyjąć? Akt to *czwarty*.

Jest on sam jeden w sobie wart więcej, niż cała sztuka... tyle tu Lubowski nagromadził komizmu, akcyi i... myślowych różnych, a pouczających aforyzmów!

Łotry zebrali się, aby sądzić uczciwego człowieka, rozprawiać o jego honorze! o prawie do szacunku! o wartości!...

Narady te ich przerywa pojawienie się samego Michała, który żywe składa dowody, przed całym areopagiem: czem są Wawrzyniewicz i Owczyński.

Sceną tą właściwie kończy się komedya i byłoby może nawet dobrze, gdyby był Lubowski zakończył nią rzeczywiście sztukę swoją, ale Autorowi spodobało się jeszcze dać zupełne rozwiązanie wszystkich węzełków które zaplątał, rozpoczynając akcyą.

Trzeba było jeszcze połączyć Michała z Henryką, wyjaśnić niektóre ciemne punkta, które mogły zrozumienie historyi utrudniać... i otóż akt *piąty*.

Bóg zapłać i za ten dodatek autorowi, za ten piękny przyczynek do ubogiej naszej oryginalnej literatury dramatycznej.

Co do grających artystów, wszyscy role swoje oddali *dobrze*, a Żółkowski, Rapacki i Szymanowski, byli... *znakomici*.

Teofil Tarcza.

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA
LONDYN.

(Dalszy ciąg).

Większa część uczni „Ragged School“ odsiadywała więzienie za różne wykroczenia, co miss Carpenter dało sposobność zbadania, jakie skutki kara podobna wywierała na winowajców i przekonania się że rząd złą obrał drogę, wyznaczając tego rodzaju kary. Wtedy wydała znakomite swoje dzieło *O szkołach poprawczych*, w którem stara się dowieść że tylko oświata może położyć kres występkom i nędzy ludu, a więc należałoby zakładać szkoły dla młodych przestępców, które zastąpiłyby więzienia, a reforma ta wydawała jej się tak ważną iż założyła zaraz kolonię rolną w Kingswood, pod Bristolem. A ileż to musiała pokonać przeszkód i trudności; zanim nareszcie zdołała obalić zastarzałą rutynę rządową i zanim przyjęto „prawo o młodych przestępcach.“

W r. 1854, lady Byron, wdowa po wielkim poe-

cie, kupiła Red-Loge w Bristolu i darowała go miss Carpenter poszukującej przytułku dla dziewcząt swej kolonii. Przekonawszy się że dziewczęta mniejsze od chłopców czynią postępy i bacznięjszego potrzebują nadzoru, osiadła przy nich i w ciągu tego zaraz roku mogła otworzyć swoją szkołę przemysłową, wybudowaną kosztem jej przyjaciela, pewnego bogatego przemysłowca w z Liverpolu.

Odrodzenie Indyi było ulubionem jej marzeniem od lat młodocianych, i nigdy nie zapomniała o niem: jednak miała już lat około sześćdziesiąt gdy nareszcie mogła je urzeczywistnić. W r. 1866 odpłynęła nareszcie do tej ziemi obiecanej, w której miała uzupełnić posłannictwo miłosierdzia jakie spełniała na tym padole. Przyjęto ją tam z wszelkiemi możliwemi honorami. Rozkaz Rady Państwa otworzył jej drzwi więzień, szkół i szpitali—jednak mimo to czekały ją niesłychane trudności. Dziewczęta indyjskie wydają za mąż ledwie nie w dziecinnych latach, a po ceremonii ślubnej kobiety w tak ścisłem trzymane są zamknięciu, iż niepodobna prawie rozbudzić w rodzinach pojęć edukacyjnych, a gdy objawiła chęć zabrania kilku dziewcząt na wychowanie do Anglii, rodzice propozycyą tę odrzucili z oburzeniem. Nie wiedząc co począć aby przezwyciężyć skrypuły bogatych, umyśliła otworzyć w Kalkucie szkołę dla najniższych kast, przyjmując na siebie koszt utrzymania jej w pierwszym roku. Panie należące do kast wyższych nie mogły się oprzeć ciekawości zwiedzenia szkoły, i musiały podziwiać tak wielkie poświęcenie kobiety w wieku miss Carpenter, która nie wahała się porzucić rodzinny kraj i przebyć dalekie morza, dla niesienia pomocy ich opuszczonym nędzarzom. Wtedy to Mary Carpenter napisała do jednej ze swoich przyjaciółek: „Uzyskałam nareszcie nagrodę o jaką jedynie błagałam nieba: bogate najpierwszych kast kobiety zaczynają interesować się moją szkołą i przekonywać się, że niezawsze można pogardzać parjami.“

Urządziwszy wszystko w Kalkucie, udała się do Madras, z zamiarem założenia tam „szkół normalnych dla kobiet krajowych.“ Porobiwszy przedwstępne kroki, powróciła do Anglii dla uzyskania od rządu niezbędnych zmian w obchodzeniu się z więźniami i poruszenia opini publicznej w przedmiocie edukacyi w Indyach. Nareszcie w r. 1867 rząd zgodził się na założenie w Bombay i Ahmedabad „normalnych szkół dla kobiet krajowych“ byle krajowcy ponosili połowę kosztu, jako dowód że tego pragną, Nie tracąc czasu miss Carpenter znów odpłynęła do Indyi. Miała już wtedy lat 62, a zdrowie jej tak było nadwerężone nadmiarem pracy i niewysłowionemi trudami, jakie musiała ponosić starając się o rozkrzewianie swego systemu wśród ludu patrzącego z niedowierzaniem na każdą nowość, iż otworzywszy pierwszą z tych szkół w Bombay, musiała wracać do kraju. Przyszedłszy do siebie, niestrudzona ta kobieta odbyła trzecią podróż do Indyi, i doznała tej wielkiej pociechy iż przekonała się że dzieło jej rozwija się pomyślnie i ma zapewnioną przyszłość.

Największym jej tryumfem było iż Sasipada-Bauerże, zabrawszy z sobą żonę i dzieci przybył do Anglii dla zbadania urządzeń szkół i więzień, w celu moralnego i fizycznego ulepszenia biednych klas w Barahanagat, gdzie zamieszkiwał. W marcu 1876 r. Mary Carpenter odbyła czwartą, ostatnią już podróż do Indyi, mając lat 68. Przyjmowano ją z niewysłowionym zapałem, kobiety z ludu padały przed nią na kolana nazywając „swoją stałą matką.“ Pamiętniki miss Mary Carpenter powinnyby być przełożone na wszystkie języki; wydawca ich, siostrzeniec zmarłej, opisuje nader zajmująco to życie tak czynne, piękne i wzniosłe „w nadziei że może między Czytelnikami znajdzie się jaka szlachetna dusza, która weźmie sobie za zadanie, prowadzić dalej rozpoczęte dzieło.“

Sir Edward Beckett, jeden z najznakomitszych prawników, adwokat, kanclerz i wikaryusz jeneralny w Yorku, wydał nader cenne dziełko naukowe p. n. O początku praw natury, napisane ze stanowiska chrześciańskiego, dla zniweczenia szerzącej się niewiary religijnej, wywołanej teoryami Darwin'a i Huxley'a. Jakkolwiek występuje w obronie zasady, którą weszło w modę nazywać „zwietrzałą i przestarzałą“ niepodobna zarzucać przesądu, człowiekowi tak wszechstronnej nauki i wiedzy, jednemu z najświetlejszych tegoczesnych umysłów. Sir Edward Beckett nie obawia się śmieszności odrzucając wszelkie dowodzenia Pawła Bert i pseudomędrców tegoczesnych, pragnących koniecznie wątpić lub nie wierzyć i utożsamiać nieprawdopodobne z niemożebnem. Dowodzenia sir Beckett'a zalecają się wyborną logiką. „Na mocy jednych i tych samych dowodów mówi, jedni wierzą drudzy zaprzeczają, a niedość na tem, świadectwa i fakta dziejowe uchodzące w pewnej epoce za niezbite i niezaprzeczone, w kilka lub kilkanaście lat później, bywają odrzucane ze wzgardą.“ Nadzwyczaj zajmująco pisze o świadectwach zmysłów, a dzieło jego równe czyni wrażenie tak w świecie religijnym jak i naukowym.

Praca cudzoziemska i zarobne angielskie, przez Tomasza Brassey. Znakomite to dzieło słynnego ekonomisty, stanowić będzie epokę w angielskiej literaturze utilitarnej. Pan Brassey jest prawodawcą, właścicielem i kierownikiem wielkich warsztatów; w fabrykach swoich kontroluje pracę robotników, w Parlamencie debatuje o wysokości przynależnego im zarobnego. Międzynarodowe stosunki handlowe, stanowią jedną z najcięższych tegoczesnych kwestyi i potrzebują być zbadane gruntownie. Obawiając się Anglii, Ameryka nakłada podatki dla podtrzymania własnych rękodzielników, jak gdyby pomyślność kraju tylko ruiną innego zapewnić można było. Takie zasady są powodem nędzy i klęsk, od czasu do czasu trapiących ludy ucywilizowanego świata, a w ostatnich latach najwięcej dały się one uczuć Anglii. Wielu ekonomistów uważa że to tylko przejściowe przesilenie, ale prawodawcy i mężowie polityczni przewidują nieustanne skargi i biedę, jeźli ulepszenie praw im nie zapobiegnie.

„Co do mnie, mówi pan Brassey, zawdzięczam osobiste moje położenie zgodnemu stosunkowi kapitału i pracy i pragnąłbym ustalić wszędzie takie przyjazne porozumienie między temi dwoma interesami, które choć wzajem od siebie zależne, tak często wydają się sprzeczne. Jakkolwiek dziś już nie potrzebuję się obawiać zmiennych kolei i katastrof handlowych, dotąd jednak nie mogę patrzeć obojętnie na te przypływy i odpływy morza handlowego, które pochłaniają i gubią tylu uczciwych ludzi. Oceniam trudności przygniatające naszych rękodzielników skutkiem niepokojącej ich walki z pracą tanio opłacaną, z coraz większymi kapitałami i całymi protekcyjnemi zagranicznych krajów. i szczere żywię współczucie dla słusznych żądań i dążeń naszej klasy robotniczej; a praca moja jest prostem sprawozdaniem i zaregestrowaniem faktów, a nie utworem fantazyi, wybrykiem wyobraźni lub teoryą.“

Ale pan Brassey mógłby dodać że praca jego dokonaną jest „con amore.“ Po długoletniem doświadczeniu, ojciec jego doszedł że zarobne jednakowe jest prawie we wszystkich krajach (ma się rozumieć odnośnie do wartości pieniędzy i najniezbędniejszych artykułów) p. Tomasz Brassey pragnie prowadzić dalej jego badania, i mówią nawet że opuści krzesło swoje w Parlamencie, aby swobodniej mógł się im poświęcić.

Dzieło p. Brassey nader żywo zainteresowało tę część publiczności, którą obchodzi dobro i przyszłość robotnika; niepodobna nie zwrócić uwagi i nie ocenić rad i wywnioskowań, wygłoszonych zarazem przez męża stanu, inżyniera, pracownika, właściciela fabryk, filozofa i filantropa.

Wszystkie galerye obrazów są obecnie otwarte. Tak zwana francuzka, stała się w tym roku kosmopolityczną otwierając swe podwoje malarzom wszelkich narodowości. Jak w przeszłym tak i w tym roku, palmę pierwszeństwa dzierży francuzki malarz de Neuville, jego *le Bourget* tłumy przed sobą gromadzi. Obraz Müller'a *Odpoczynek karawany* zaleca się piękną kompozycyą i wspaniałym kolorytem. Bardzo bogato zaopatrzoną jest galerya akwarelli, a szczególniej krajobrazów, obalając zarzut upadku jaki uczyniono temu rodzajowi od lat kilku. Galerya Grosvenor przedstawia znaczny zbiór szkiców pierwszych angielskich malarzy Millais'ego, Leighton'a i innych. Jednakże najcelniejszemi utworami są szkice głów z natury, wystawione jak corocznie przez Legros'a, który wykończa je w przeciągu pół godziny dla uczniów kierowanej przez siebie szkoły, Wystawa obrazów starożytnych jest nie tak świetna jak bywała dawniej. Arcydzieła nie są niewyczerpane, nic więc dziwnego że gdy właściciele tych skarbów sztuki już niejednokrotnie je wystawiali, zajęcie niemi publiczności słabnie.

Teatra cieszą się świetnem powodzeniem. Jakkolwiek na wszystkich scenach dają jeszcze przekłady sztuk francuzkich, jednakże i zbyt długo odpoczywający autorowie angielscy, podnieceni występami miss Lytton przedstawiającej tak wybornie role dramatyczne starego repertoaru, znowu wzięli się do pracy. Dramat p. Wils p. n. *Nenona*, którego treść zaczerpnięta jest z czasów rewolucyi francuzkiej a rzecz dzieje się w Paryżu, ściąga tłumy do teatru. Drugą sztuką oryginalną, przyjmowaną z wielkiemi oklaskami jest *Midge* w której śliczna Jenny Lee zachwyca widzów swoją wyborną grą. W Operze grywają na przemian *Rienzi* i *Lohengrin'a* Wagnera lub utwory Offenbach'a, a na wszystkich innych scenach ucieszną operę Sullivan'a, p. n. *Finafore*. Nędzna ta farsa muzyczna stała się tak popularną, iż przedstawiają ją po dwa razy na dzień, rano przez początkujących, wieczorem przez zwykłych artystów. Rzecz dzieje się na pokładzie okrętu wojennego, którego nazwę autor nadał sztuce swojej. Pocieszne bąki i kłopoty admirała, który nie ma pojęcia o marynarce i po raz pierwszy w życiu znajduje się na pokładzie okrętu, wywołują szalony śmiech widzów i ogłuszające oklaski. Dzienniki donoszą, że farsa ta i w Ameryce cieszy się równem powodzeniem i w pięciu teatrach codziennie bywa przedstawianą.

W *Lyceum* dane było przedstawienie które wywołało szalony zapał i ogłuszające oklaski. Sławny tragik Irwing, zwykle występujący tylko w trajediach i wielkich dramatach Szekspira, na benefis jednego z kolegów wystąpił w pierwszej roli jaką grał przybywszy do Londynu, i w której mimo bardzo małej akcyi, uwydatnił się wielki jego talent. Najpierw odegrano *Dwie Róże* a potem scenę procesu z *Pickwick'a* Dickens'a, w której najznakomitsi artyści zgodzili się na granie roli sędziów, świadków, policmenów, a nawet tłumu zalegającego pretoryum — a to w celu nadania przedstawieniu na korzyść kolegi, jakiejś uroczystszej cechy.

I. C.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Maja 1880 r.

Moda w kapeluszach, zupełnie już na ten rok ustalona, a przecież nadzwyczajną spostrzegamy w nich rozmaitość; noszą zarówno małe, średnie i bardzo wielkie. W jednych i tychże samych magazynach, widziemy tak zwane kabryolety lub *chapeaux Directoires*, z rondem mocno na przód wysuniętym; a obok nich maleńkie kapotki, szczelnie przystające do głowy, nie podniesione wcale po nad czołem. Do rozmiarów kapelusza zastosowane bywają i ozdoby. Na wielkich widzimy i kwiaty i pióra i szpilki złote i koronkę; maleńkim zaś wystarcza draperya z atłasu lub gazy, i skromny kwiatek umieszczony za uchem. Co jednak stanowi konieczne dopełnienie małego kapelusza, to szerokie na pół łokcia szarfy z fularu *Surrah*, ogarnirowane brzegiem koronką żółtawą. Im mniejszy kapelusz, tem szarfy niezbędniejsze; wielki za to zupełnie się bez nich obywa, miejsce szarf zastępuje szeroki krawat z koronki lub fularu, obwiązany w koło szyi na wielką kokardę. Na gorące dnie wystarczy sama kokarda, muszlinowa lub fularowa, z wolantem koronkowym.

Do ubrania kapeluszy, przyjęte powszechnie kolory lilla, żółty i ciemno pąsowy (caroubier). Cała gamma żółtych tonów szczególniej używa wziętości, zacząwszy od śmietankowego aż do ciemno pomarańczowego, graniczącego z morderowym; oto spis wszystkich modnych odcieni: *creme* (śmietankowy); *ivoire* (kości słoniowej); *blé* (zbożowy); *mais* (kukurydzowy), *son* (otrębowy), *viel or* (starego złota), *capucine* (nasturcyowy), *safran* (szafranowy. Wstążki w ogólności mniej używane do kapeluszy; zastępują je draperyą z ukośnego fularu Surrah, z lekkiego atłasu, lub gazy pomięszanej z materyą.

Oto kilka pięknych modeli, z magazynu pani Jeoffrin przy ulicy Richelieu.

Kapelusz mały, wizytowy, z atłasu *viel or*, nad rondem wieniec z heliotropu i koronka *creme*, końce bardzo szerokie z fularu Surrah, z wolantem koronkowym, służą do wiązania pod brodą. Dodajmy tu, że połączenie tych dwóch kolorów przypadło do smaku Paryżankom; widzimy kapelusze *viel or*, przybrane bzem, fiołkami, anemonami lila i t. p.

Kapelusz wielki *Directoire* z cienkiej słomki czarnej, podbity pod rondem, marszczonym atłasem *caroubier*, całą ozdobę jego stanowi ogromna kokarda alzacka w tymże samym kolorze, przytwierdzona dwoma wielkiemi szpilkami złotemi, nie ma wcale końców do wiązania.

Trzecia kapotka czarna tulowa zahaftowana dżetem, z wierzchu wpięty diadem z bratków w rozmaitych odcieniach; szarfy do tego fijołkowe, zakończone koronką czarną z dżetem.

Inna kapotka z fularu Surrah, koloru ciemno caroubier: rondko u niej całe namarszczone przystaje płasko do głowy, brzeg tylko cokolwiek odwinięty w górę, podbity aksamitem tegoż koloru, naszyty rzędem złotych pereł. Na wierzchu draperya z brokatelli w deseń, pomięszana z fularem—końce fularowe, objęte koronką, przerabianą jedwabiami w perski deseń.

Zapiszmy tu jeszcze oryginalny kapelusik z siatki szenelowej, pomięszanej ze złotem, brzegiem ronda naszyta koronka złota lekko przymarszczona, z wierzchu bukiet z czarnych maków ek ze złotemi środkami.

Wielkie kapelusze muszkieterskie, z rondem po jednej stronie odwiniętem, i piórami strusiemi, pojawiają się często w lasku bulońskim, ale tylko w pojazdach; na ulicy wyglądałoby zbyt excentrycznie.

Zapowiadają na lato szare batystowe kapotki, przybrane fularem lilla, lub ciemno caroubier, dotąd mało ich jeszcze widać.

Na rano przyjęte woalki gazowe w kolorach odpowiednich do kapelusza, wązkie na pół łokcia, ze szlakiem atłasowym. Do ubrania używane białe illuzyowe, w biały lub czarny rzucik wyszyty szenelką.

Wielkie magazyny przysposobiły mnóstwo kwadratowych chusteczek do upięcia na głowę: środek ich zwykle bywa z fularu Surrah, w kolorze pąsowym, błękitnym lub blado różowym, w koło idzie koronka *crême*, naszyta medaljonikami, lub szlaczkiem w perskim guście. Chusteczka taka zwraca się rogiem na czoło, dwa boczne rogi przechodzą do tyłu głowy i wraz z trzeciem spinają się na złotą szpilkę. Do większego ubrania noszą chusteczki atłasowe, zahaftowane złotem; dodają do nich kwiatek i złote strzałki.

Przejdźmy teraz do wiosennych i letnich okrywek; widzieliśmy wielki ich zbiór na wystawach, w magazynach Luwru i Petit S-t Thomas.

Pierwszą nowość w tym roku stonowi tak zwana *Palatyna*. Na ramionach i plecach tworzy ona maleńką pelerynkę, przody długie do kolan, spadają jak końce od szalika, objęte u dołu lekką frendzlą. Szeroka siatka naszyta dżetem, zdobi w tyle palatynę, sięgając aż do stanu. Jedne widzieliśmy z gładkiej czarnej materyi, inne z atłasu broszowanego w muszki.

Wizytki ciągłej jeszcze używają wziętości. Tak zwana *Vizite Marie*, czarna atłasowa, podbita marseliną, ma bogaty garnirunek złożony z frendzli szenelowej, z blądyny hiszpańskiej i pasmanteryi przerabianej dżetem, przez środek pleców przechodzi słup z pasmanteryi. U szyi podwójna koronka i frendzla, tworzy bogaty kołnierz.

Inna wizytka (vizite Laure) z sycyljanki czarnej. Końce jej zaokrąglone u dołu; garnirunek z blądyny i frendzli dżetowej. Wielki kołnierz naszyty blądyną i frendzlą, tworzy chusteczkę spadającą na przodzie aż do stanu.

Dla starszych osób wielka mantylka z kaszmiru indyjskiego z długiemi końcami za kolana, podbita marseliną. W koło idzie szeroka plisa z atłasu czarnego w groszek, brzegiem bogata frendzla jedwabna. Wielki kołnierz atłasowy w formie chusteczki, objęty również frendzlą, pokrywa plecy i ramiona. Oprócz tego u szyi dodana rusza blądynowa; takaż sama rusza przechodzi z przodu wzdłuż mantylki.

Na chłodne dni płaszczyk *Syrena* z sukienka szarego, długi do kolan, równy w koło, cokolwiek wcięty na plecach. Szerokie, wolno puszczone rękawy, tworzą z przodu jakby pelerynkę. Dół płaszczyka zakończony plisowanem sukienkiem, szerokości pół łokcia, mocno zaprasowanem. Kołnierz do tego brązowy aksamitny, i takież po bokach kieszonki.

Dla młodych osób ukazały się ładne kardynałki (camails) zachodzące tylko do stanu, tulowe czarne, całe naszyte pięcioma rzędami koronki hiszpańskiej. U dołu frendzla dżetowa; u szyi rusza, spięta na pęk pukielków, z wązkiej wstążki czarnej atłasowej.

Na wielkie upały, noszone będą mantyle z tulu w deseń, lub też z muszlinu *crême*, ogarnirowane wolantem koronkowym. Widzimy je po magazynach robione na rozmaite miary.

Oprócz tych okrywek ukazało się mnóstwo kołnierzy i pelerynek dżetowych, albo z siatki szenelowej, przerabianej dżetem. Używają też na nie paciorek ciemno czerwonych jak granatki.

Do nowości należą także naszyjniki z drobnych perełek szklannych, naśladujących złote, srebrne lub stalowe paciorki. Jedne składają się po prostu z kilku sznurków, spadających coraz niżej; inne przewłoczone są w kratkę, zakończone u dołu frendzelką.

W formie sukien, to szczególniej uderza, iż spódnica złożoną bywa z dwóch zupełnie odrębnych części, oddzielonych od siebie słupem z materyi, lub pasmanteryą, a niekiedy garnirunek z odwróconą koronką (encoquille). Przód czyli fartuszek przymarszczony zwykle wzdłuż lub w poprzecz, kończy się u dołu falbanką. Od boków idą tylne bryty podpinane w fantastyczne draperye. U sukien ciemnych wełnianych, widzimy najczęściej przód z gładkiego atłasu, w tymże samym kolorze. Jasne kostiumy w dzikich odcieniach ubierają fularem Surrah w perski deseń.

Z pomiędzy wyrobów bawełnianych, najmodniejsza dziś *Satanela* czyli dymka atłasowa w rozmaite desenie, mięszają zwykle tę tkaninę z inną gładką w kolorze odpowiednim,

Kostiumy fularowe powszechnie też używane. Spódnica u nich bywa z gładkiego fularu, draperya i stanik w deseń. Ubierają je zazwyczaj koronką żółtawą (crême) i pękami wstążki atłasowej.

Musimy tu jeszcze zapisać bardzo praktyczną modę, upowszechniającą się coraz więcej. Mówimy o tak zwanych *matinée*: jest to długi paletocik z takąż samą spódnicą. Elegantki paryskie uczepiły się tej mody i doprowadziły ją do wielkiej wytworności Widzieliśmy w magazynach także ranne ubrania, z białego i niebieskiego fularu, ogarnirowane walancieną, strojne całemi kaskadami atłasowych wstążek. Obok tych spostrzegamy inne nierównie praktyczniejsze i te szczególniej zalecamy. Robią je z lekkiego kaszmiru, z gładkiego perkalu, piki, albo szarego płótna: wełniane okładają tkaniną w perski deseń, bawełniane kolorowym perkalem w muchy lub inny rzucik. Taka *matinée* służy zarówno do domowego ubrania, jak do rannej przechadzki, nieoceniona szczególniej do podróży, do wód i kąpieli morskich. Przekonani też jesteśmy, że ta moda dziś już bardzo upowszechniona więcej jeszcze znajdzie zwolenniczek w gorące dni lipcowe.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 22 Апрѣля 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 19 r. 1880.

SAWANTKA.

przez

mistres Annie Edwardes

przekład z angielskiego

przez J. B.

(Dokończenie).

— Potem rozstaliśmy się na długo! krewni pragnący wydalić mnie jak najdalej, wyrobili mi posadę w dyplomacyi, na której nic nie miałem do roboty, ale też odpowiednią pobierałem płacę. Pięć lat przebyłem w Wiedniu, i tylko dwa razy na krótko wpadłem do Londynu... pewnego dnia odebrałem zawiadomienie że jesteś narzeczoną sir Severn'a.

— Zaledwie wtedy przestałam być dzieckiem, skończyłam lat szesnaście, odrzekła jakby usprawiedliwiając się miss Hardcastle. Spodziewałam się że zamężcie wyzwoli mnie nareszcie od wszelkich „logii“ i „izmów“ jakiemi męczyła mnie Fraulein Shnapper. Byłam szalona, musz ę to przyznać.. a co do ciebie, Feliksie, myślałam że dawno zapomniałeś o mnie.

— Starałem się znieść tę wiadomość z jak największem stoicyzmem, wiedząc że nie mogłaś świetniejszej zrobić partyi, pod względem urodzenia i majątku—a pragnąłem tak szczerze twego szczęścia... Powróciłem i ujrzawszy cię znowu, często przestając z tobą... zrozumiałem... uczułem że się kochamy... Bądź spokojna, droga Klimciu, nie przekroczę konwencyonalnych granic, i gdy zostaniesz lady Severn potrafią milczeć... ale dziś — niech mi wolno będzie mówić, jak nieszczęśliwemu którego jutro śmierć czeka!...

— Ach! kuzynie Feliksie! zawołała podnosząc ku niemu wzrok drżący wzruszeniem, — czemuż, czemuż nie powiedziałeś mi tego prędzej... ja cię zawsze, zawsze...

Słowo zamarło na ustach, łzy popłynęły z jej oczu.

Nie pomogła filozofia jaką przeciążała jej umysł guwernantka Niemka, daremne były argumenta zimnej logiki—zagłuszyło wszystko to gwałtowne bicie serca dziewczyny.

XV.

Dobrali się.

Róże przekwitły, jesień nadeszła. Jabłka leżące stertami zapowiadają czas zajęcia się przygotowaniem jabłeczniku; ostatnie zbiory morszczyzny już wysuszone i ułożone w stogi.

Przechodząc około chatek, nie zalata nas już z wiejskich ogródków miła woń lawendy i gwoździków; na kwaterach i rabatach błyszczą tylko bezwonne kwiaty jesienne, dalje, kryzantemy i malwy.

Lato, nieodwołalnym wyrokiem zostało skazane na śmierć, jednak (jak wiele złamanych serc ludzkich) tak jakoś trzyma się do ostatka, że gdyby nie krótsze dnie i pożółkłe liście, możnaby przypuszczać że niezadługo powrócą minione rozkosze maja i czerwca.

W pewne popołudnie, w ciepły dzień październikowy, słońce raz jeszcze oblało swym blaskiem Fief-la-Reine, złocąc swojem światłem mchem pokryte mury starej fermy, jej budynki i ogród którego drzewa pozbawione już były swej uroczej zieleni.

Na bogato jeszcze ukwieconych klombach brzęczą roje pszczół zbierając słodycz do miodu; na dachu mleczarni dojrzewają złotawe dynie; przed domem leżą rozłożone na wielkich płachtach jarzyny i soczewica przeznaczone do zachowania na zimę.

W sadzie rozlega się daleko wesoły śmiech Pawełka, dopomaga on niby cioci Hosi zbierać resztę niesplików i październikowych gruszek; z kuchni dochodzą dziwne niewyraźne tony piosenki śpiewywanej zwykle przez Małgośkę. Zebrała ona już sobie dostateczny zapas łyżek i bielizny, i ślub jej z Jankiem ma się odbyć na Boże Narodzenie; tak więc myśl i wyobraźnia jej zajęta jest przeważnie przyszłością i oczekującemi ją w niej rozkoszami.

— Istna scena arkadyjska! zawołał głos daleko teraz słodszy niż gdyśmy słyszeli go dawniej, i powóz jakiś zatrzymał się przed małą furtką Fief-la-Reine, przed którą to kiedyś sir John Severn i pani Chester tak długo nie raz się żegnali. „Sir Johnie, jeźli kiedy wyrzeczemy się pychy i próżności tego świata, wtedy zbudujemy sobie chatkę na wybrzeżach Queruée... A! dopieroż Dafne się zadziwi jeźli czasem nie opuściła tej fermy, lub jeszcze nie zaślubiła jakiegoś okolicznego wielbiciela... Dafne, *rodzina wawrzynkowatych*, (daphne). A! lżej oddycham wiedząc że nie będę już zmuszona pamiętać i powtarzać nazw naukowych i łacińskich.“

W chwilkę potem. Klementyna z twarzą więcej rozpromienioną niż przyświecające październikowe słońce, szła obok sir Johna ścieżką ciągnącą się pod oknami salonu. Głos jej stał się słodszym, uśmiech milszym i ponętniejszym; zdawałoby się nawet że chód jej jest teraz lżejszym i młodszym niż owego wieczora gdy na pożegnanie przyjechała do Fief-la-Reine. Gdyby nawet na lewej jej ręce nie błyszczała ślubna obrączka. już z samego ubioru strojnego, świeżutkiego, jak to mówią zdjętego jakby z igły, kobiece oczy poznałyby młodą mężatkę.

A takie właśnie oczy patrzą na nią, zaledwie mogąc powstrzymać gorzkie, palące łzy cisnące się do nich.

Dafne Chester od dawna już zbierała zapas odwagi na tę ciężką chwilę gdy zobaczy John'a Severn z *żoną;* teraz jednak zdaje się jej że to boleść przechodząca jej siły. Przez trzy ostatnie miesiące podtrzymywało ją wspomnienie poświęcenia. Wystawiona na tak straszną pokusę iż dość jej było wyciągnąć rękę aby pochwycić i posiąść szczęście całego życia, zdołała zapanować nad swem uczuciem i wyrzec się ukochanego; dodawało jej sił zadowolnienie sumienia że spełniła swój obowiązek, mimo to co noc poduszka jej zroszona była łzami, lica pobladły, oczy blask swój utraciły.

Gdy Barry Chester ją opuścił, bez wysilenia poddała się swemu nieszczęściu, bo przygniatało ją poczucie własnej niemocy i niemożebności stanowienia o własnej przyszłości; ale obecnie, miłość, ten wielki mistrz, podniosła ją w własnem przekonaniu, ucząc że każda zniesiona boleść, każde poświęcenie uczynione przez poszanowanie obowiązku, gdy już powoli czas zabliźni ranę, staje się wielkim zyskiem moralnym dla tego, kto umiał zdobyć się na nie.. Jednakże teraz!...

...Teraz, dziwna sprzeczność serca kobiety!... teraz gdy może widzieć szczęśliwe następstwa swej cnoty i poświęcenia, Dafne Chester zdjęta niewymownem przerażeniem, chciałaby schować się pod ziemię aby tego uniknąć.

...A! mógł przynajmniej nie śpieszyć się tak bardzo! pomyślała załamując zlodowaciałe ręce, a serce biło jak młotem gdy patrzyła na zbliżających się Severn'a i Klementynę, tak swobodnych i wesołych, jak gdyby ich egoizm wystarczał całemu światu. Mogli przecież zaczekać rok, choćby pół roku, nie potrzebowali przychodzić chełpić się szczęściem miodowych miesięcy... a jeźli już koniecznie chcieli przybyć, toć przecież mógłby sir Severn mieć choć trochę poważniejszą minę. Jakkolwiek może być upojony rozkoszami świeżego związku, powinienby przecie zachować choć przelotne wspomnienie, choć trochę żałować przeszłości, a w najgorszym razie przynajmniej udawać to przez delikatność...

Dwie starsze misses Vansittart oddają w najętym powozie swoje co pół roczne wizyty znakomitościom wyspy; ciocia Hosia zajęta jest w sadzie.

Biedna Dafne, pozbawiona wszelkiej pomocy, musi sama spełnić kielich goryczy.

Odetchnęła lżej, gdy po daremnych usiłowaniach porozumienia się z Małgośką po francuzku, młoda mężatka sama weszła do salonu — tak więc albo zbudziło się sumienie sir Severn'a, albo w ostatniej chwili zbrakło mu odwagi.

— Zapewnie nie spodziewałaś się nas pani tak prędko, zawołała Klementyna podbiegając ku Dafnie z wyciągniętemi rękami i z większą niż kiedykolwiek serdecznością: — ale spędziłam w Fief-la-Reine tak miłe i słodkie chwile, iż nie mogłam się oprzeć pokusie aby przed wyjazdem do Paryża przybyć tu odwiedzić panią, i zobaczyć raz jeszcze miejsca które na zawsze pozostaną mi drogie.

Dafne wita przybyłą jak może najuprzejmiej, ale nic nie mówi, słowa jej zamierają na ustach. Ani wie co odpowiedzieć, tem więcej iż przyszło jej na myśl że *owe słodkie chwile* Klementyna spędzała głównie w towarzystwie kuzynka Feliksa a nie zaś sir John'a.

— Co prawda, powinna byłam napisać, aby panią zawiadomić, ale podróż nasza tak nagle w ostatniej chwili została postanowioną, iż nie miałam czasu nawet pomyśléć o tem. Teraz jednak chcę zacząć od początku...

To powiedziawszy usiadła przy oknie, a światło padające na nią w całej pełni, uwydatniło jej elegancki, artystyczny ubiór podróżny, oraz rozpromienioną szczęściem ożywioną twarzyczkę, taką tworzące sprzeczność z nader skromną suknią Dafny i jej blademi policzkami.

— Aby więc zacząć od początku, powiem pani że już od bardzo dawna jestem mężatką—bo ślub mój odbył się 21 sierpnia!

— Nie odebrałyśmy zawiadomienia, odrzekła Dafne, chciała powiedzieć „lady Severn“ ale usta

jej nie mogły wymówić nowej nazwy młodej mężatki.

— Rzecz naturalna, nie było ogłoszeń w dziennikach, a miałam powody — których pani nie możesz się domyślać — aby nie pisać nic o tem do żadnej z moich przyjaciółek, choć co do pani mogła bym była uczynić wyjątek.—Ach! pani Chester! mówiła dalej wyłącznie jedną zajętą myślą,—z samolubstwem które często nieznośnem czyni towarzystwo młodych mężatek—czy przypominasz sobie naszą rozmowę w pokoju pani, przy oknie pod którem rosły piękne kwitnące róże, podczas ostatniego wieczoru pobytu mego w Fief-la-Reine?

O tak! Dafne nie zapomniała tej rozmowy; dobrze pamięta każde słowo...

— Otóż muszę pani przyznać że wówczas byłam o panią trochę... troszeczkę zazdrośna.

— O mnie?...

— Źle m się wyraziła; nie o panią byłam zazdrośna, ale zazdrościłam pani. Zdawałaś się być tak zadowolnioną z życia i ze wszystkiego co cię otaczało, a moje serce tak straszny przygniatał ciężar... czyż więc nie wolno mi było być trochę zazdrośną?

Tak więc ciocia Hosia miała słuszność, „natura ludzka zawsze jest jednakowa i nie dba o modę..." Jakkolwiek słabą i chłodną była miłość Klementyny dla Severn'a, tkwiło w niej jednak tyle siły żywotnej, że zdobyła się na „przestarzałe" uczucie zazdrości.

— To tylko przypominam sobie, rzekła niezupełnie spokojna w sumieniu Dafne, że wtedy przepowiedziałam pani szczęście.

— A jak chwaliłaś mi pani sir John'a! teraz, oceniając go bez uprzedzenia muszę przyznać że miałaś słuszność, i że biedak zupełnie zasługuje na pochwały.

Dafnie krew uderzyła do twarzy; dotknął ją żywo obojętny dźwięk głosu, choć niby słowa były życzliwe. Nie pomyślała że nie ma prawa brać do serca obojętności i niemal lekceważenia z jakiem mówiła o sir Severn'ie jego żona—wszak jej, Dafne Chester, wolno tylko zimną przyjaźń zachować dla niego!...

— Bieda tylko, mówiła dalej Klementyna, że wszystkie piękne przymioty sir Severn'a, najzupełniej były mi obojętne. Gdyśmy się spotkali po trzech latach rozłączenia, pojęłam instynktownie że za wcześnie, za młodo zostaliśmy zaręczeni... Czy przypominasz sobie pani jak niespodziewanie ja i Feliks przerwaliśmy lekcyę rysunku, jakiej sir John udzielał ci po za skałami? odtąd każda z nim spędzona godzina przekonywała mnie coraz mocniej że nie byliśmy dla siebie stworzeni.

Dafne słuchała z rozpłomienioną twarzą; nawet do Fief-la-Reine doszły wieści o zbyt wyemancypowanem obejściu i za swobodnych doktrynach tegoczesnych mężatek—ale słyszeć podobne zwierzenia z ust kobiety zamężnej zaledwie od paru miesięcy —to już przechodziło jej pojęcie!

— Widząc nas tu razem, mówiła dalej zmieszana nieco Klementyna, spoglądając na błyszczącą ślubną obrączkę — musiałaś pani poznać że... że... kochałam kuzyna Feliksa.

— Kuzyna Feliksa! powtórzyła Dafne, sama nie wiedząc co mówi.

— Ze stanowiska naukowego, można zapewnie zarzucić mu że nie jest bardzo uczonym, ludzie zbyt surowi nie przyznaliby mu może wszystkich gruntownych przymiotów sir Severn'a, a nadto... jest ubogi, kiedy sir Severn jest bardzo, bardzo bogaty!... Ale serce nie rozumuje... a potem, zdaje mi się że od dziecka prawie zawsze kochałam Feliksa, dodała, i żywy rumieniec na twarz jej wystąpił, i że z nim zawsze i wszędzie, choćby nawet w ubóstwie mogłabym być szczęśliwa.

Biedna Dafne bladła i czerwieniała słuchając tych zwierzeń pani Broughton, bo powinniśmy nareszcie nadać Klementynie nazwisko które nosi taka z niego dumna i szczęśliwa.

Pani Chester słowa wymówić nie jest w stanie; nie zrozumiała tego jeszcze ale jednak jakiś odbłysk nadziei zaświtał w jej umyśle. Nareszcie zapanowawszy nad swem pomięszaniem, wyszeptała:

— A więc kuzyn Feliks, to jest pan Broughton.. przybył tu z panią?

— Tak jest, pozostał w hotelu, i jeźli pani pozwoli przyjdzie później i raz jeszcze zapraszamy się na herbatę. Feliks, bardzo zmęczony morską podróżą, potrzebował wypocząć trochę, a że sir John był tak grzeczny iż ofiarował się towarzyszyć mi, myślałam że lepiej zrobię jeźli nie czekając przyjdę panią zawiadomić.

— Więc sir John jest... to jest podróżuje z panią?

Gdyby Klementyna nie była tak wyłącznie zajęta szczęściem swojem, zauważyłaby niezawodnie pomięszanie i drżący głos jakim Dafne zadała to pytanie.

— Miałby podróżować z nami! dziwna myśl! czyż ja i Feliks znieślibyśmy obecność trzeciej osoby między nami?... Spotkanie nasze jest najzupełniej przypadkowe; dopiero gdy już statek odpłynął, dowiedzieliśmy się że sir Severn jest także na pokładzie.., i jakoś spokojnie przeszło pierwsze nasze spotkanie.

Dafne sama nie wiedziała co się z nią dzieje; sercem jej miotało wzruszenie, radość, a nadewszystko zadziwienie że mogła znaleźć się na świecie kobieta odmawiająca sir Severn'owi, aby zostać żoną pana Broughton.

— Widzę z miny pani, że choć nie potępiasz mnie może tak surowo jak wszyscy w ogóle, jednakże nie zbyt dobre masz o mnie wyobrażenie. A przecież serce mi mówi że jeźli kiedy, to niezawodnie w obecnym razie, zerwanie danego słowa zaszczytniejszem było niż dotrzymanie go. Co zaś do sir Johna, mam mocne przekonanie że nie zostanie niepocieszonym.

Dafne wstała śpiesznie, przysuwając się do okna. Nieopodal, na tarasie, spostrzegła sir Severn'a, który, jak to dawniej bywało, szedł niosąc na ręku Pawełka; obok niego szła ciocia Hosia, a na jej poczciwej od słońca opalonej twarzy, jaśniał niewysłowiony wyraz bezmiernego szczęścia i zadziwienia zarazem.

— Nie mam bynajmniej złego o pani wyobrażenia, odrzekła po chwili Dafne, tylko przyznaję że nie mogę pojąć...

— Szalonego postąpienia Klementyny Hardcastle, dokończyła pani Broughton. Cóż pani chcesz, pod tym względem każdy ma swoje przekonania,— możesz pani jednak być pewna że długo walczyłam z sobą, zanim ostatecznie zerwałam z sir Severn'em. Wróciwszy do Londynu, nie przeszkadzałam odgrywaniu nadal strasznej komedyi, nie broniłam pani Hardcastle zajmować się kupowaniem nie wiem już wielu sukien i kapeluszy, a ojcu łamać sobie głowę nad układaniem warunków intercyzy — milczałam, choć niewysłowiony ból szarpał mi serce. Chodziło tu nietylko o zrzeczenie się tak świetnego zamążpójścia ale o porzucenie pięknej, szlachetnej sprawy. Zostawszy lady Severn, dzięki wpływom i wielkiemu majątkowi, mogłabym zakładać szkoły dla kobiet, położyć pierwsze podwaliny jednego lub dwóch kollegium, a może nawet po pewnym czasie stanąć na katedrze i samej miewać odczyty... Ale nareszcie zbrakło mi sił do walki, i gdy pewnego dnia przysłano mi z magazynu ślubną suknię do przymierzenia, wyznałam wszystko i napisałam do sir Johna bawiącego wtedy w Szkocyi, że mu wracam dane słowo. Za to wysłano mnie na rekolekcye do kuzynki Etelberty, krewnej zmarłej matki mojej, starej panny mieszkającej w Devonshire.

— A gdzież wtedy był pan Broughton?

— Biedak tęsknił w Paryżu, oczekując codzień zaproszenia na mój ślub.

...Nareszcie w tydzień po moim przyjeździe do Devonshire i on tam się pojawił, bo nieprzewidzianie, z wielką naszą radością, stara Etelberta stanęła po naszej stronie, zapewniając nam swoją pomoc i opiekę. Poznawszy dzieje naszej miłości i dowiedziawszy że wolemy wyrzec się świata niż przeniewierzyć się sercu, kuzynka Etelberta uznała że postąpiliśmy tak jak tylko za jej młodych lat postępować umiano, i przyjęła Feliksa z otwartemi rękami. Łatwo domyślisz się pani reszty. Bez wystawy, strojów i przygotowań, wzięliśmy ślub w wiejskim kościółku w obec kuzynki Etelberty, i od owej chwili jesteśmy zadowolnieni i szczęśliwi.

— A rodzina pani i przyjaciele czy wiedzą o twojem zamążpójściu?

— Po kilku dniach musieliśmy napisać do ojca i przybranej matki mojej, błagając o przebaczenie i o pieniądze. Pani Hardcastle odesłała mi moją wyprawę, ale nie napisała ani słówka. Gorzkie to było szyderstwo, przysełać dwa tuziny ciężkich jedwabnych sukień z trenami, kobiecie której mąż żadnego nie miał majątku, i oboje musieliśmy myśleć jak i z czego żyć będziemy. Ojciec przysłał mi wprawdzie czek na pięćset funtów, ale nadmienił zarazem że nic więcej nie mamy spodziewać się od niego.—Oto jakie są nasze widoki materyalne, mówiła wesoło Klementyna.—Wprawdzie, kuzynka Etelberta dała nam do zrozumienia że będziemy jej spadkobiercami, tylko zdaje się że jeszcze z pół wieku żyć może; ale Feliks ma nadzieję że niezadługo zostanie mianowany drugim sekretarzem naszej ambasady w Wiedniu, z płacą 360 funt. rocznie; na tę zimę zaś dla oszczędności pojedziemy do Włoch. Cóż pani na to?

— Myślę o ojcu pani, o sir Johnie, odrzekła Dafne.

— Dzięki niebu, ojcu już żal się trochę nas zrobiło; na dzień przed opuszczeniem Devonshire odebrałam od niego krótki ale serdeczny liścik, napisany w sekrecie przed panią Hardcastle. Co zaś do sir Johna... liczę na to że przyszła lady Severn, owa „Ona" która *zapewnie istnieje*, potrafi zapewnić mu szczęście. Czy nie podzielasz pani mego zdania?

W tejże chwili sir John i ciocia Hosia dochodzili do okien salonu. Czy mam mówić co odpowiedziała, a szczególniej co myślała Dafne Chester?

. . . .

Tak więc gdy zapadł piękny październikowy wieczór, gdy po nad wieżą Gabryelli pierwsza zajaśniała gwiazda, znów rozległy się wesołe kroki i młode głosy po uliczkach ogrodu w Fief-la-Reine.

Nie przeminęła jeszcze pora róż dla dwóch szczęśliwych par przechadzających się po nad morskiem wybrzeżem... Kalendarz miłości nie zna pór roku ani miesięcy; gdzie tylko biją kochające serca, pora róż trwa tam wiecznie.

PIENIĄDZ TO SZCZĘŚCIE, PIENIĄDZ TO POTĘGA.

przez panią Thuret,

przekład **J. B.**

I.

Wybiła godzina piąta; choć był to już koniec września, dzień był piękny i ciepły.

Przed domem stojącym tuż przy kracie prowadzącej do Versalu, po prawej stronie drogi wiodącej do Paryża, zatrzymał się piękny faeton, zaprzężony w karo gniade rumaki czystej krwi; wysiadł z niego młody człowiek, wysoki, szczupły, odznaczający się zręczną, pańską powierzchownością.

— O której godzinie pan hrabia każe przyjechać jutro? zapytał wygalowany lokaj.

— O dwunastej. A nie zapomnij zaraz wróciwszy do Paryża zanieść książki do księżnej.

Służący zadzwonił.

Zanim drzwi otworzono, faeton zawrócił. Hrabia z zadowolnieniem znawcy przyglądał się doskonale wytresowanym rumakom.

— James, rzekł do stangreta, niech konie trochę wypoczną i powoli wracaj do domu.

Wtem otworzyły się małe drzwi w pobliżu kraty.

— Jakże się miewa stryj mój, Janie? zapytał przybyły kamerdynera, który przeszedłszy z nim dziedziniec, wprowadził go do wielkiego salonu na parterze, którego okna wychodziły na ogród.

— Pan margrabia zdrów zupełnie i niecierpliwie oczekuje pana hrabiego.

Zaledwie Jan to powiedział, wszedł prędko do salonu wysoki starzec, wyciągając ręce do przybyłego.

— A jesteś przecie, kochany synowcze! zawołał, ściskając go serdecznie; cieszę się żeś przyjechał. Wszak prawda żem się tu dobrze urządził? Jakże ci się zdaje, Jerzy?

Nie brakło w wielkim salonie światła ani powietrza: przed oknami roztaczał się taras pełen prześlicznych kwiatów, nęcących oczy różnorodnością świetnych barw, które zozjaśniały złotawe blaski zachodzącego słońca, ale meble, stanowiące szczyt wykwintności za Restauracyi, starannie przechowane i utrzymane, tak symetrycznie ustawione były pod linię, iż całemu salonowi nadawały jakieś sztywne, chłodem przejmujące wejrzenie. Czuć było że na tych kanapach i fotelach starożytnego fasonu nowem błyszczących pokryciem, goście nader rzadko siadali; że po tej połyskującej posadzce nie stąpały stopy przyjaciół; nakoniec czuć było że można tu było oddychać ale nie żyć prawdziwem życiem — nigdzie ani śladu dzieł sztuki ani przedmiotów zdradzających smak wykształcony.

— Doskonale, mój stryju, odrzekł na zapytanie hrabia, któremu w ciągu minuty przeszło przez myśl wszystko cośmy powiedzieli wyżej i zimny dreszcz go przejął. W duszy pomyślał sobie: wolałbym umrzeć niż żyć tutaj.

— Ot, widzisz, jestem zarazem i na wsi i w mieście, ilekroć przyjdzie mi ochota do niego zajrzeć— co się jednak nader rzadko zdarza. Ograniczyłem się na oddaniu niezbędnych wizyt; wbrew twoim upodobaniom, panie światowcze, nie lubię natrętnych i próżniaków.

Żarcikowi temu towarzyszył śmiech nerwowy i suchy, jak cała postać markiza. Małe jego czarne oczki, kryjące się pod szorstkiemi siwiejącemi brwiami, zabłyszczały przelotnie, poczem twarz jego przybrała zwykły sobie zimny i surowy wyraz.

Markiz d'Elcairet, stryj Jerzego, był to stary sześćdziesiąt-pięcio letni kawaler, który całe życie swoje poświęcił jedynej swojej namiętności — nauce. Kochanka ta jego nigdy żadnej nie zaznała rywalki; żona, dzieci, bracia, krewni, przyjaciele, zabawy— były to dla niego próżne słowa bez znaczenia. Miał tylko znajomych a i z tymi, jedynie jeźli mogli mu się na co przydać—zachowywał stosunki.

Niekiedy, w wyjątkowych okolicznościach, uważał sobie za obowiązek oznajmić, że Jerzego kocha jak syna, ale mówił to tylko dla parady, nic nie czując w sercu.

Dopóką ten którego teraz nazywał kochanym synowcem, a niekiedy nawet swoim spadkobiercą, był prawie ubogim, radą nawet nigdy dopomódz mu nie chciał, z obawy aby w następstwie nie został zniewolony dopomódz pieniędzmi. Wyrachowany samolub, markiz d'Elcairet zachowywał tylko pozory, unikając nader zręcznie najlżejszych nawet kłopotów i obowiązków; zamiłowany wyłącznie w nauce, strzegł zawzięcie i nieubłaganie spokoju i swobody umysłu, tak potrzebnych do pracy.

Jeźli chciał, umiał być uprzejmym i przyjemnym; ilekroć śmiał, był szorstkim i gburowatym; zazwyczaj posępny i marudny, z natury jednak nie był pozbawiony bystrości umysłu, w gruncie bezlitośny i niemiłosierny; potrafił doskonale udawać dobroduszność; hojny i wspaniały w słowach, był w rzeczywistości brudno skąpy i nieużyty; zimny jak lód, nieczuły jak głaz, markiz był najgorszym, najobojętniejszym opiekunem.

Nigdy synowiec—syn jedynego brata jego, który stracił matkę przychodząc na świat a ojca w dziecinnym wieku—nie budził w samolubym markizie najlżejszego współczucia; nietylko zaniedbał zupełnie moralną stronę wychowańca sieroty, ale nie chciał nawet zająć się zarządem niewielkiego majątku pozostałego po bracie. Nie dozwolił nic sprzedać, nic poruszyć z obawy ściągnięcia na siebie jakiejś odpowiedzialności.

Markiz d'Elcairet niecierpiał dzieci; w napadach mizantropii utrzymywał że te miniatury rodzaju ludzkiego, posiadające w zmniejszeniu wszelkie przywary i występki, budziły w nim wstręt niewysłowiony.

Tylko przez wzgląd na opinię nie odmówił opieki nad Jerzym. Umiał jednak w obec świata pięknemi pozorami pokrywać tę niechęć, powtarzając za to nieustannie gdy go nikt nie słuchał, że skoro nigdy nie chciał mieć i męczyć się z własnemi dziećmi, była to największa niegodziwość narzucać mu cudze. Nigdy nie kochał zmarłego brata, który miał zupełnie odmienny charakter.

Tak nagłe przejście z doskonałego szczęścia do zmartwień i nigdy dotąd nie znanych przykrości, gorzko dało się uczuć Jerzemu, który wychowany dotąd przez kochającego, całkiem oddającego mu się ojca, został jednocześnie pozbawiony jego pieszczot i zniewolony opuścić dom rodzinny, gdyż opiekun oddał go do szkoły.

Krótki pobyt w domu stryja żadnej nie przyniósł mu pociechy; uczuł nad wiek swój i gorzkiemi łzami opłakiwał stratę ojca, a opiekun obchodził się z nim z lodowatą obojętnością.

W pierwszych kilku dniach pobytu chłopczyny; stryj znudzony ciągłym płaczem sieroty, bez litości nad cierpieniem jego, nazywał go *beksą*, a gdy nareszcie, jak zwykle dzieci w jego wieku, mały Jerzy przestał płakać a nawet czasami roześmiał się głośno, wyrzucał mu znów że nie ma serca.

Powoli młody hrabia oswoił się ze szkołą i zastosował się do nowego życia, ze zwykłą rezygnacyą dzieci czujących się zupełnie opuszczonemi i nie mogącemi na nic ani na nikogo liczyć; ale pobyt w domu stryja największą zawsze sprawiał mu przykrość i chwile w nim spędzane uważał sobie za najcięższą pokutę. Czuł że markiz go nie lubił i znosił tylko z musu, i dziecięca jego duma wiele cierpiała na tem.

Ubranie jego było zawsze za krótkie lub za długie, za wązkie lub za szerokie, gdy się dopominał nowych sukien, opiekun powtarzał mu zawsze: „nie masz majątku, więc bądź oszczędny i staraj się jak najdłużej chodzić w sukniach.“ Chłopczyna spoglądał wtedy rozpaczliwie na swoje wytarte i krótkie rękawy z pod których wyglądały czerwone ręce, i na niższą część ubrania nie dochodzącą do kostek, nieosłaniającą wykrzywionych butów. Gdy nareszcie opiekun zniewolony już był sprawić nowe suknie, kazał zawsze robić je za długie i za szerokie; a gdy chłopiec użalał się że są tak niedotrafione, opiekun powtarzał ulubioną swoją piosnkę: „jesteś ubogi, bądź oszczędny, obszerne suknie dłużej potrwają.“ Zresztą, dodawał, czyż d'Elcairet... i nie kończył—ale należało się domyślać że kto nosi to nazwisko, może nie zważać na nic.

Ale Jerzy bynajmniej nie był o tem przekonany, a że czuł się śmiesznym, więc próżność jego bardzo cierpiała na tem i nigdy nie chciał iść gdzieś na spacer w podobnem ubraniu, przez co zmuszony był całe dnie, w które przychodził do stryja, przesiedzieć samotnie lub ze starą panią Bocquet, gospodynią markiza.

Markiz d'Elcairet nie pomijał żadnej sposobności aby wykazywać sierocie korzyści bogactwa, a jednocześnie skazywał go na wszelkie przykrości nieodłączne od największego ubóstwa, jakie nie było znowu jego udziałem. Nie dawał mu nigdy najmniejszej nawet sumki na jego drobne wydatki lub jakiekolwiek przyjemności, pod pozorem ze nie trzeba przyzwyczajać dzieci do marnotrawstwa, ale rzeczywiście chciał tym sposobem pomścić się za nieprzyjemności jakie sprawiała mu narzucona opieka i dla tego dokuczał chłopcu wszelkiemi sposobami.

Jedna tylko pani Bocquet litowała się nad biednym sierotą; kładła mu do kieszeni różne przysmaczki gdy wracał na pensyę, przekładała aby się nie martwił: „wszystko musi się skończyć, mówiła; przyjdzie czas że będziesz bardzo bogaty, przecież pan markiz nie zabierze z sobą wszystkiego na tamten świat.“

Przy każdym obiedzie chłopczyna musiał wysłuchać nudnego kazania, trwającego od początku do końca; odpowiadać na każde pytanie—a, broń Boże! żeby miał wtedy co w ustach, przez co choć stół był wykwintny, on wstawał od niego prawie głodny, gdyż ponieważ margrabia jadł nie wiele i bardzo prędko, Jerzy nie miał czasu zjeść co miał na talerzu.

Gdy chłopiec miał wracać do szkoły, markiz nieodmiennie żegnał go temi słowy: „wszak prawda, mój synowcze, że bardzo mile dzień spędziłeś? idźże teraz i zabierz się gorliwie do pracy, aby znowu na taką przyjemność zasłużyć.“

W gruncie duszy, stary markiz potępiał bardzo te reacye, które odrywają, jak mówił, od nauki, młodzież i tak nader skłonną do próżniactwa. Gdy nakoniec Jerzy wychodził i zamknął drzwi za sobą, markiz oddychał spokojnie, mówiąc sobie: „a przecież skończyła się pańszczyzna!“

Nie chcąc przez całe wakacye mieć u siebie synowca, wysyłał go corocznie do Normandyi do jednego ze swoich dzierżawców, któremu naturalnie nic za to nie płacił, gdyż poczciwy człowieczyna uważał to sobie jeszcze za największą łaskę, że miał zaszczyt mieć u siebie, żywić i dogadzać jak mógł i umiał synowcowi pana markiza, którego mimo młodocianych lat tytułował zawsze panem hrabią.

Później Jerzy opowiadał nieraz jak wielką mu to wówczas sprawiało boleść, że odjeżdżając stamtąd po skończonych wakacyach, nigdy nie był w możności zostawić cokolwiek na pamiątkę dzieciom tych poczciwych ludzi, którzy podejmowali go tak gościnnie.

Hrabia miał doskonałą pamięć, nie zapomniał więc niczego a tem samem nie mógł ani bardzo być przywiązanym ani nawet bardzo szanować stryja. Ale nie daremnie markiz d'Elcairet, sceptyk pogardzający uczuciowością i nie wierzący w żadne uczucia, mówił ustawicznie i przy każdej sposobności powtarzał synowcowi: że na świecie pieniądz jest wszystkiem, to największe dobro, to szczęście, to potęga jedynie prawdziwa, która wszystko nam dać i wszystkiego dokazać może. Takie nauki musiały głębokiem piętnem odbić się w sercu ucznia.

Jeszcze dzieckiem będąc, Jerzy myślał sobie iż jeźli rzeczywiście pieniądze mogłyby dać mu co tylko zapragnie, piękne nowe suknie, zabawki, łakocie i wszystko na czem mu zbywało, to najniezawodniej dobra to rzecz bardzo i chciałby mieć ich jak najwięcej, gdyż dokuczyło mu już bardzo ubóstwo i dotkliwie drażniło jego dumę dziecięcą. Później, gdy już był młodzieńcem i zaczął rozglądać się w życiu, mówił znów sobie: jeźli aby posiąść wszystko co mi się podoba, wszystko co już polubiłem i co czuję już że lubić lub kochać będę, wszystko co zazdrość we mnie budzi, co nęci wzrok mój, pochlebia moim upodobaniom, upaja i podbudza moje skłonności i namiętności—jeźli wszystko to dać mogą pieniądze, to je mieć będę, bo je mieć chcę!

Stryjaszek miał majątek przynoszący 80,000 franków rocznego dochodu, a więc synowiec potrafił ukrywać swoją do niego niechęć, i myśląc o spadku po nim, odwiedzał go i nadskakiwał.

Chcąc wyłącznie oddać się swej ulubionej nauce, markiz d'Elcairet świeżo właśnie opuścił Paryż i przeniósł się do domku wzniesionego pod samym Versalem. Kupił go przed dwoma miesiącami i urządził tak aby najlepiej pomieścić swoje zbiory.

Po wykwintnym obiedzie — gdyż stary markiz stawał się coraz większym smakoszem — stryj i synowiec wyszli do ogrodu, pełnego najrzadszych krzewów i najpiękniejszych kwiatów. Stryj był jakoś bardzo rozmowny i opowiadał różne złośliwe ploteczki, synowiec słuchał paląc cygaro, za wyraźnem zezwoleniem stryja, który jednak w gruncie oburzał się na ten szkaradny nałóg i wcale nie salonowe zachowywanie się tegoczesnej młodzieży.

Noc nadchodziła, chłód uczuć się dawał; wrócili więc do salonu. Markiz przeszedłszy go tylko, zaprowadził Jerzego na pierwsze piętro, do swego gabinetu w którym ciągle przesiadywał.

Była to wielka galerya urządzona wyłącznie na odpowiednie rozmieszczenie jego bogactw naukowych; zajmowała całą fasadę od strony ogrodu.

Jerzy podziwiał szczerze umiejętne uszykowanie tych rzeczywiście znakomitych zbiorów, i z tak żywem zajęciem przyglądał się skarbom zawartym w witrynach, iż pochlebiało to bardzo i zadawalniało miłość własną i jedyną namiętność starego uczonego, do tego stopnia, iż pierwszy raz w życiu był prawie serdecznym dla synowca.

Rozmawiali tak do północy.

Choć markiz przestał już bywać w świecie, bardzo jednak lubił wiedzieć co się w nim dzieje. Najwięcej zajmowała go tajemna, skandaliczna kronika, jaką zwykle opowiada się pod sekretem; był to jego najulubieńszy przedmiot rozmowy, i szatańską jakąś sprawiał mu przyjemność. Im przedmiot był drażliwszy, tem więcej go bawił, wówczas oczy jego błyszczały jak rozżarzone węgle. Zacierał ręce; oglądał się w koło siebie z podwójnem zadowoleniem, jakby ciesząc się że jego nic podobnego spotkać nie może.

Późno już było gdy markiz przypomniał sobie że miał jeszcze zrobić korektę formy dzieła, które właśnie wydawał. Pod ten czas Jerzy wyszedł na balkon odetchnąć świeżem powietrzem. Gwiazdy się pochowały, szare obłoki pokryły niebo, które błyskawice przerzynały od czasu do czasu.

Zamyślony Jerzy wpatrywał się w przestrzeń, śledząc postęp coraz wzmagającej się burzy, po chwili spojrzenia jego padły na pawilon w stylu Ludwika XVI, stojący w sąsiednim ogrodzie. Błyskawice uwydatniły piękną jego architekturę. Był to budynek parterowy, bardzo kształtny, z płaskim dachem otoczonym balustradą. W samym środku gmachu, wznosiła się mała, bardzo ładna kopuła.

— Do kogo należy ten piękny budynek sąsiedni? zapytał stryja wracając do jego gabinetu.

— Do hrabiny Fabiani.

— Kto jest ta pani?

— Bogata Włoszka.

— A! przypominam sobie; słyszałem o niej. Czy ją stryj zna?

— Znałem ją dawniej, więc zamieszkawszy tu wypadało oddać jej wizytę.

— Czy to młoda osoba?

— Nie, a szkoda, dodał śmiejąc się, bo jest wdową. Mąż jej został zabity w pojedynku. O! dawna to już ale tragiczna historya...

— Co to za krzyk! przerwał Jerzy wybiegając na balkon.

— Pewnie jaki pijany włóczęga! odrzekł markiz nie ruszając się z miejsca.

Przez kilka sekund panowała cisza; wtem nagle drugi, daleko przeraźliwszy krzyk rozległ się w powietrzu; wtedy markiz wstał i śpiesznie wybiegł na ganek.

— To tam, stryju, rzekł Jerzy, tam w tem oświetlonem oknie.

— Tam!... a więc u hrabiny Fabiani.

— Cicho... słuchajmy... Wzywają ratunku... To głos kobiecy. Chodźmy prędko, stryju; nie można się wahać i dozwolić zamordować biedną kobietę.

Zdjęli ze ściany pistolety; wzięli pudełko zapałek i zbiegłszy prędko do ogrodu przystawili do muru wziętą z cieplarni drabinę. Hrabia wszedł na nią pierwszy, dopomógł stryjowi i niebawem obaj zeszli do sąsiedniego parku.

Grabowa aleja prowadziła do pawilonu, w oddali rozlegał się huk grzmotów; wiatr się wzmagał, duże krople deszczu spadały na liście.

Podsunęli się ostrożnie pod okna—w tejże chwili zgasło oświecające go światło.

— Posłyszeli nas, szepnął markiz d'Elcairet, i zatrzymując oddech, zaczęli nasłuchiwać... Usłyszeli słaby jęk... sprzęt jakiś upadł z hałasem... potem grobowe nastało milczenie.

Markiz i hrabia zdjęli obówie aby nie skrzypiało po piasku i prędko pobiegli do drzwi wchodowych —ale daremnie próbowali otworzyć je lub podważyć. Wszystkie okiennice były pozamykane; próbowali oderwać jedne po drugiej, ostatnią dopiero zdołali otworzyć.

Hrabia ramieniem wypchnął szybę, podłamywał kawałki szkła, otworzył zasuwy i wszedłszy do pokoju, podał rękę stryjowi; gdy obaj byli w pokoju, zapalił zapałkę: Znajdowali się w sali jadalnej, z której było wyjście na okrągławy korytarz, oświecany światłem padającem przez oszkloną kopułę. Światło nieustających błyskawic, szarawe cienie rzucało na freski zdobiące ściany, twarze pomalowane na nich zdawały się wykrzywiać coraz inaczej.

— A! nareszcie poznaję miejscowość, rzekł markiz. Wchodziłem przez ten przedsionek—otóż jest salon.

Mówiąc to otworzył drzwi prowadzące do salonu.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 18.

(Dokończenie).

Drobne kwiatki i listki zaszyte są rzędami ściegów łańcuszkowych, cieniem zielonym, oliwkowym i wiśniowym.

N. 31 i ryc. 15 w N. 19. **Suknia** ze stanikiem skośnie zapiętym. Model tylnej draperyi stanika na ryc. 28 w N. 11.

Na spódnicy z przodu w fałdy ułożonej, dalej oszytej plisowaniem 12 cent. szerokiem, dana jest długa tunika z przodu wstążką sznurowana, złożona z 2-ch części przednich skośnie z boku ściętych, 130 cent. długich, u dołu 56, w górze 41 c. szerokich i z bryta prostego 88 cent. szerokiego a 60 długiego, dopełnionego częścią w fałdy ułożoną i pod nim do spódnicy przyszytą. Do stanika dodana jest z tyłu draperya której model i opis podany był przy ryc. 28 litera b).

N. 32. Ubranie z krótką draperyą i ze stanikiem z baskiną.

Na spódnicy w koło fałdowanej, u dołu wązką plisowaną falbanką zakończonej, dana jest krótka suta draperya, z przodu i z boków kilka razy przemarszczona, z tyłu dopełniona prostym podpiętym brytem.

N. 33 i ryc. 14 w N. 19. **Ubranie** spacerowe z długim stanikiem.

Fason stanika widoczny jest na ryc. 33 i 14. Spódnica u dołu oszyta plisowaniem 14 cent. szerokiem, nad którem w odstępie 16 c. naszyte drugie 40 cent. szerokie plisowanie. Draperyą z przodu układa się w sposób na ryc. 33 wskazany, z bryta 70 cent. szerokiego, a tylną z dwóch brytów 50 c. szerokich a 60 długich, szwem odwracanym na spódnicy przyszytych, od dołu dopełnionemi 3-ma 17 cent. szerokiemi puklami. Z boków na złączeniu draperyi dane przepięcie z tego samego materyału.

Opis do N-ru 19.

N. 1 i 45. Opis przy r. 4 w N. 18.

N. 2 i 44. Płaszczyk dla panienki lat 10 do 12. Krój na arkuszu N. VII, Fig. 30 do 37a.

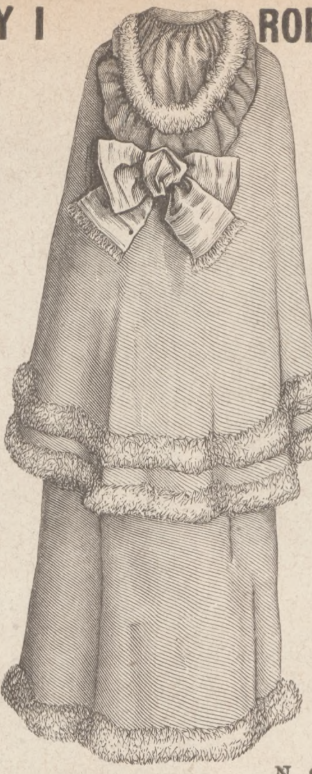
Krój płaszczyka z wolnemi przoda-



N. 4. Sukieneczka batystowa.



N. 1. Spódnica i tunika do ubrania ryc. 4 i 34 w N. 18.



N. 3. Płaszczyk z pelerynką i kapturkiem.



N. 2. Płaszczyk dla panienki lat 10-12 r. 44.



N. 5. Fartuszek koronkowy dla małej dziewczynki.



N. 6. Rękaw przemarszczany w bufki zakończony gładkim mankietem i falbankami.



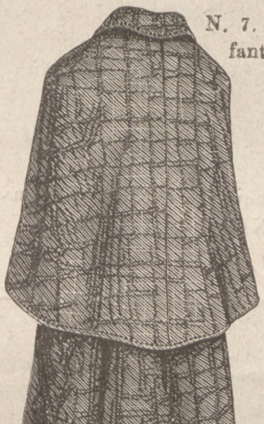
N. 7. Rękaw z mankietem fantazyjnie przewiązanym wstążką.



N. 8. Ubranie spacerowe lub domowe ryc. 13.



N. 6. Sukieneczka dla dziecka. Krój na ark. Nr XVII Fig. 90.



N. 10. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5. Krój na ark.



N. 11. Ubranie wizytowe z jasnego materyału.



N. 12. Ubranie wizytowe z ciemnego materyału.



N. 16. Torsadka słomkowa do kapeluszy.



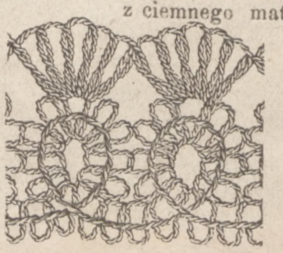
N. 14. Ubranie spacerowe z długim stanikiem. Patrz rycina 33 w N-rze 18.



N. 13. Ubranie spacerowe lub domowe. Patrz ryc. 8. Krój na ark. Nr IX, Fig. 44—45.



N. 15. Suknia ze stanikiem skośnie zapiętym. Patrz ryc. 31 w N-rze 18.



N. 17. Torsadka do kapeluszy.



N. 18. Kapelusz wielki okrągły. Patrz ryc. 16—19.



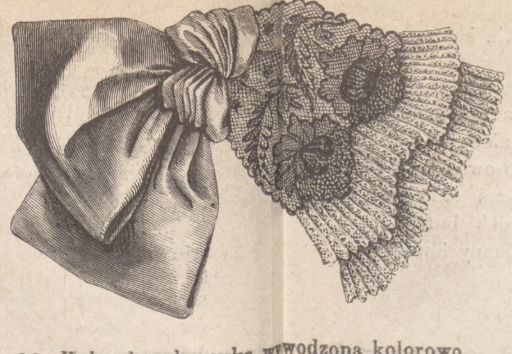
N. 25—27. Wachlarze spacerowe i en-tout-cas z wachlarzem wszrubowanym w laskę.



N. 33. Okrycie (visite). Patrz r. 34. Krój na arkuszu Nr III, Fig. 13—16a.



N. 28. Parasolik en-tout-cas pokryty granatowem płótnem.



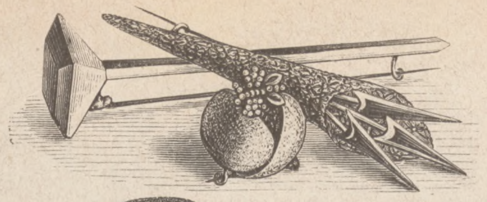
N. 32. Kokarda z koronką wywodzoną kolorowo.



N. 29. Parasolik pokryty atłasem cieniowa- w paski.



N. 34. Okrycie (visite). Patrz ryc. 33.



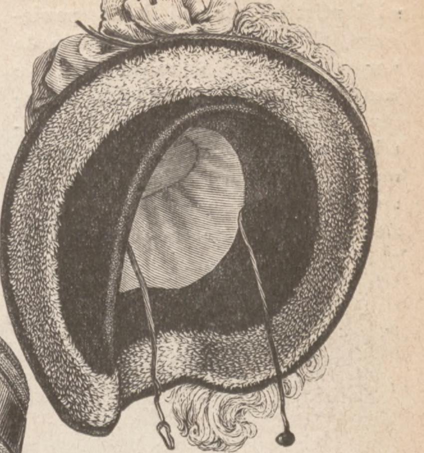
N. 20—22. Szpilki i przepięcia do kapeluszy.



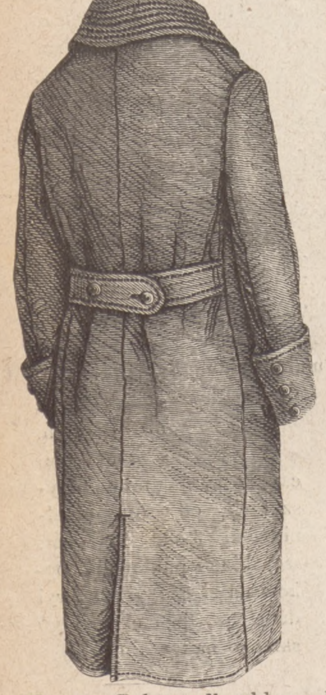
N. 23. Kapelusz słomkowy dla chłopca.



N. 24. Kapelusz słomkowy dla dziewczynki.



N. 19. Kapelusz wielki okrągły ryc. 16—18.



N. 37. Paletot dla chłopca lat 10—14. Krój na ark. Nr XII, Fig. 62—67a.

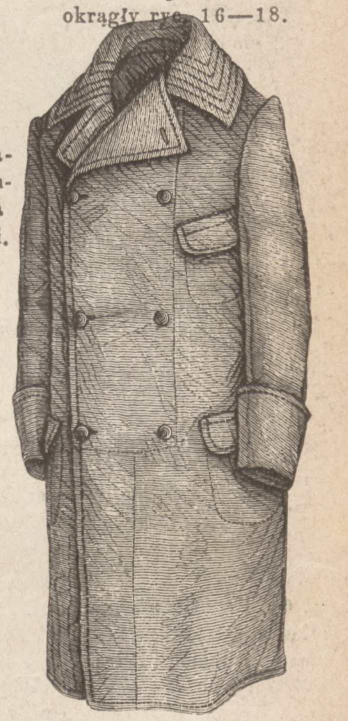


N. 35—36. Paletocik dla dziecka. Krój na ark. Nr XIV, Fig. 74—79.



N. 39. Sukienka z paletocikowem vêtement ryc. 1 w N. 18.

N. 40. Sukienka z vêtement.



N. 38. Paletot dla chłopca lat 10—14 r. 37.

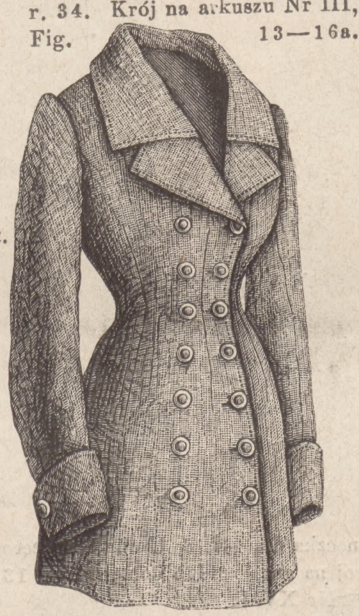


N. 41. Płaszczyk z pelerynką. Patrz ryc. 10.

N. 42. Sukienka z bluzką. Krój na ark. Nr IV, Fig. 17—19.

N. 43. Paletocik z pelerynką dla dziewczynki lat 7—9. Krój na ark. Nr XV, Fig. 80—84a.

N. 44. Palytocik dla panienki lat 10—14. Patrz rycina 2.



N. 46. Paletocik krótki, wcinany. Patrz ryc. 47.



N. 45. Stanik do sukni ryc. 4 i 34 w N. 18. Krój na ark. Nr I Fig. 1—5.



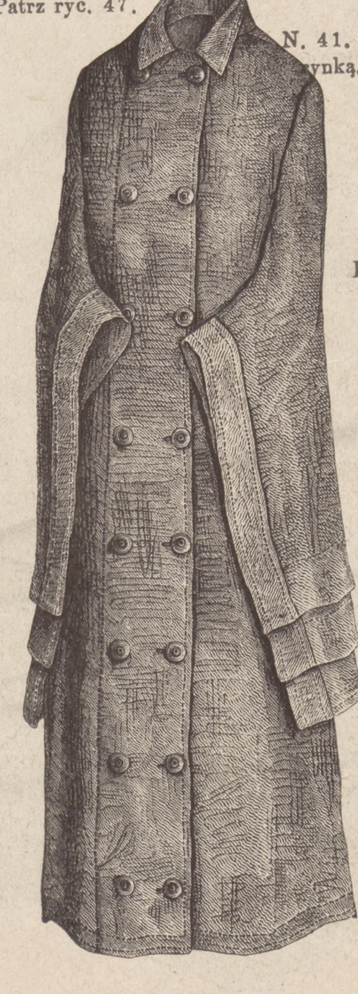
N. 30. Parasolik z tureckiego perkalu z jedwabną niebieską podszewką.

N. 31. Parasolik z bastu jedwabnego z koronką.



N. 48. Talma z pelerynką siatkową. Krój na ark. Nr VI, Fig. 28—29a. Patrz ryc. 49 i ryc. 12 w N. 18.

N. 47. Paletocik wcinany. Patrz ryc. 46. Krój na arkuszu Nr XIII, Fig. 68—73a.



N. 51. Płaszczyk z długiemi rękawami. Patrz ryc. 52. Krój na arkuszu Nr X, Fig. 50—55a.



N. 49. Talma z siatkową pelerynką. Patrz ryc. 44.



N. 53. Mantyla z szalowemi końcami. Patrz rycina 54.



N. 50. Okrycie z kolorowem wyszyciem. Deseń na Fig. 47.



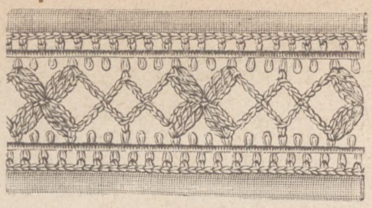
N. 52. Płaszczyk z długiemi rękawami. Patrz ryc. 51.



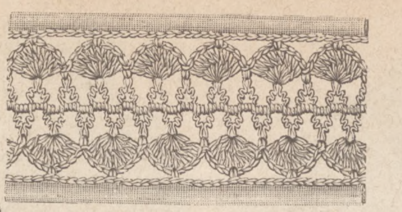
N. 54. Mantyla z szalowemi końcami. Patrz ryc. 53.

N. 55. Okrycie z chustki tureckiej. Krój na arkuszu Nr XI, Fig. 56—61.

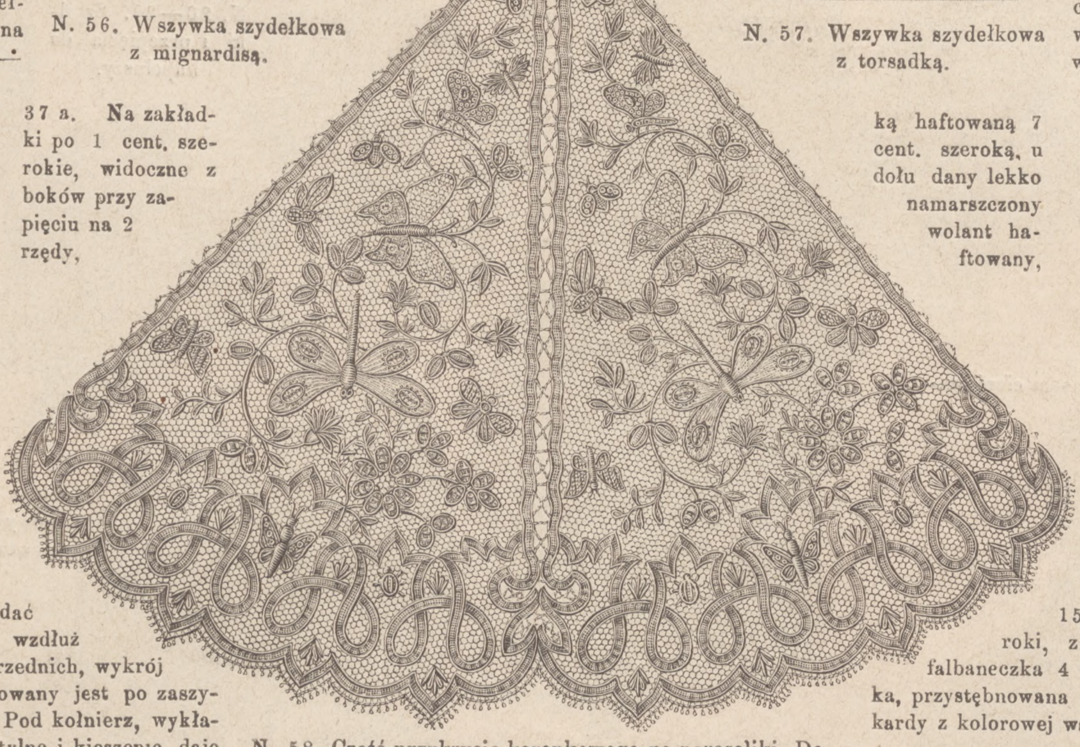
mi i wciętemi plecami łatwo powiększyć lub zmniejszyć odpowiednio do wzrostu i figury; materyał może być jasny lub ciemny, gładki lub w kratkę czy w paski. Brzegi ozdobione rzędami stębnowki, guziki okrągłe kamienne. Części kroju Fig. 30—32 dopełniają się podług miar wskazanych na zmniejszonym formacie Fig. 30a — 37 a. Na zakładki po 1 cent. szerokie, widoczne z boków przy zapięciu na 2 rzędy, trzeba naddać materyału wzdłuż brzegów przednich, wykrój szyi dopasowany jest po zaszyciu fałd. Pod kołnierz, wyklady klapki tylne i kieszenie, daje się muśliin sztywny i podszewkę.



N. 56. Wszywka szydełkowa z mignardisą.



N. 57. Wszywka szydełkowa z torsadką.



N. 58. Część przykrycia koronkowego na parasoliki. Deseń na arkuszu Fig. 49.



N. 61. Kapotka zdobna atłasem złotawego koloru i kwiatami. Patrz ryc. 62.



N. 62. Kapotka z angielskiej słomki. Patrz ryc. 61.



N. 59—60. Laski do parasolików odrobione z kości słoniowej i ozdobami koralowemi.

N. 3. Płaszczyk z pelerynką i kapturkiem, dla małego dziecka. Krój na arkuszu Nr VIII, Fig. 38—43 a.

W porze zimnej pod płaszczyk i pelerynkę trzeba dać podszewkę watowaną, w lecie wystarczy jakakolwiek cienka podszewka; pod pikę białą nie daje się żadnej. Model ryc. 3 jest z kaszmiru białego lub niebieskiego obszyty puszkiem łabędzim. Formę przodu i pleców załącza Fig. 39 do 40. Karczek rękawy i kapturek podług Fig. 38, 41 i 43; w rękawki u dołu wszyta jest elastyka. Pelerynkę wskazaną w małym formacie na Fig. 42, oznaczyliśmy linją kropkowaną na formacie Fig. 88; ramiona zaszywają się podług linii gładkiej a na długość trzeba pelerynkę powiększyć. Kapturek z podszewką jedwabną, podszyty jest w odstępie 1 i pół od brzegu listewką do ściągania i następnie brzeg wywija się gwiazdką do gwiazdki; u góry trzeba go nadmarszczyć odpowiednio do wykroju szyi. Dla dogodności w noszeniu dziecka trzeba na prawym szwie bocznym zostawić rozporek 20 cent. długości, poniżej na 14 c. od pachy.



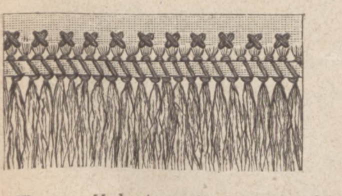
N. 63. Krawatka z czarnej materyi i koronki.



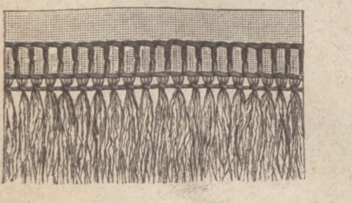
N. 65. Deseń wyszycia na serwetkę ryc. 68.



N. 69. Szlak do ryc. 24 w N-rze 18.



N. 66. Zakończenie do serwetki.



N. 67. Zakończenie do serwetki.



N. 70. Podnóżek. Patrz ryc. 22—23 w N. 18 i Fig. 92.

N. 4. Sukieneczka biała batystowa.

Odrobiona lekko wciętą formą princesse, z wysokim kwadratowym wykrojem szyi, gładkie plecy i boczki zakończone u dołu plisowaniem 11 cent. szerokiem, przód zaś składa się w górnej połowie z dwóch buf fałdowanych poprzecznie, złączonych wszywką haftowaną 7 cent. szeroką, u dołu dany lekko namarszczony wolant haftowany, 15 cent. szeroki, z boków zaś falbaneczka 4 cent. szeroka, przystębnowana pliską. Kokardy z kolorowej wstążki.

N. 5. Fartuszek koronkowy.

Wspaniały fartuszek, tworzący jakby zwierzchnią koronkową sukieneczkę, wykonany z nici robotą koronkową, składa się z dwóch części złączonych niewidocznym szwem z przodu, wzdłuż pleców związany jest kokardami. Sukienka przeglądająca z pod koronki może być z kolorowej materyi, batystu lub wełniana.

N. 8 i 13. Ubranie spacerowe lub domowe. Krój na arkuszu Nr. IX, Fig. 44—45.



N. 64. Krawatka z deseniowego fularu.

Suknia z bronzowego szewjotu w jaśniejsze paski, ozdobiona jest tylko ładnemi rogowemi guzikami; spódnica u dołu 200 cent. szeroka, przybrana plisowaniem 46 c. szerokiem, z pod którego wygląda drobniutkie plisowanie z atłasu lub materyi. Na przednią część tuniki której rozmiar wykazuje bryt *b* na Fig. 44, materyał wzięty jest skośnie; brzegi boczne fałdują się do 47 cent. i przyczepiają na sukni przy brycie tylnym, poniżej 10 centym. od paska. Tylny bryt prosty *c* u góry sfałdowany do 18 cent. i wszyty w pasek razem z suknią, jest z jednego boku, w odstępie 22 cent. od góry, założony w trzy głębokie fałdy, przez co podniesiony do równej długości z częścią przednią, z drugiego boku pozostawiony gładko na 37 cent. niżej zaś podpięty na pukiel 28 centym. długi.

(*d. n.*)



N. 68. Serwetka zwana „doily.“ Zobaczyć deseń środkowy i szlaki brzeżne na ryc. 65—67.